NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. **Kraków, 25. sierpnia 1917.** **Nr. 34.**

Rocznica urodzin cesarskich w Krakowie.



Festyn w parku Jordana. 1) Dekoracya wejścia do parku. 2) Loterya fantowa. 3) Kontrola kasy. 4) Pawilon wykonany przez jeńców rosyjskich. 5) Bufet.
(Fot. inż. Artur Bromowicz).

Rocznica urodzin cesarskich w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej).

W dniu 17 b. m. cała monarchia obchodziła uroczyście pierwszą po wstąpieniu na tron rocznicę urodzin cesarza Karola. W Krakowie uroczystości rozpoczęło nabożeństwo w katedrze na Wawelu, celebrowane przez księcia-biskupa ks. Sapiehę w otoczeniu licznego duchowieństwa. W stallach zasiadła kapituła i reprezentanci władz państwowych i autonomicznych. Między innymi przybyli: b. minister Galicyi dr Bobrzyński, prezes Koła polskiego dr Łazarski, marszałek krajowy Niezabitowski z członkami Wydziału krajowego Pilatem, Onyszkiewiczem, Kiwelukiem i Bernadzikowskim; delegat namiestnictwa dr Fedorowicz; szef Centrali odbudowy kraju radca Herbst, radca dw. Ingarden; z ramienia miasta wiceprezydent Sare z gronem radców miejskich i naczelków wydziałów magistratu; senat Uniwersytetu Jagiellońskiego, reprezentant Akademii Umiejętności prof. dr Morawski; szef Urzędu gospodarczego hr. Lamezan; gen. Lavricz, reprezentanci wojskowości, sądu, prokuratoryi, prok. skarbu, krajowego Czerwonego Krzyża i t. d.

Po mszy św. duchowieństwo odśpiewało „Te Deum", a na organach odegrano „Hymn ludów". Podczas nabożeństwa dano salwę honorową.

Z okazyi urodzin monarchy odbyło się również uroczyste nabożeństwo w kościele św. Piotra, które odprawił kapelan wojskowy ks. Kondolewicz. Na nabożeństwie obecny był komendant twierdzy JE. generał Guseck z gronem oficerów, z ramienia miasta wiceprezydent Rolle z gronem radców. Przed kościołem ustawiona była kompania honorowa, która oddała przepisane salwy.

Po nabożeństwach odbyło się w starostwie składanie na ręce delegata nam. A. Fedorowicza życzeń i *cercle*.

Po południu z powodu uroczystości cesarskich odbył się wielki festyn w parku Jordana. Festyn, mimo pochmurnego nieba, zgromadził olbrzymią liczbę uczestników. Wystarczy stwierdzić, że sprzedano około 15.000 biletów wstępu. Już o godzinie 3 po południu pieszo, dorożkami oraz przepełnionymi tramwajami spieszyła publiczność do parku. Przy trzech kasach, przy których sprzedawano bilety wstępu, panował tłok olbrzymi. Bramę wchodową ozdobiono bogato festonami.

W parku panował ruch niezwykły. Wszystkie aleje, chodniki, ścieżki przepełnione były tłoczącą się publicznością. Wszędzie panował ścisk olbrzymi,



„Duch Legionów": Brygadyer-pułk. Bolesław Roja.

przedewszystkiem w głównej alei, ozdobionej po obu stronach chorągiewkami i festonami. W samym końcu tej alei, niedaleko pomnika dra Jordana, ustawiono na wysokim postumencie wspaniały biust cesarza Karola I. na tle pięknej kwiatowej dekoracyi.

Wzdłuż głównej alei, oraz na sąsiednich chodnikach ustawiono kioski z kwiatami, kartkami widokowemi, papierosami, ciastkami, wodą sodową i t. d. Wielkiem powodzeniem cieszył się także bufet. Tutaj ścisk panował nie do opisania. Poczta polowa, oraz loterya fantowa cieszyły się także wielkiem powodzeniem.

Wielką atrakcyą festynu był kabaret, urządzony pod gołem niebem pod głównym pawilonem zabaw. Publiczność zajęła wszystkie miejsca. Na długi i obfity program, prócz muzyki wojskowej, złożyły się: śpiew p. Millera i deklamacya pp. Minowicza i Berskiego, tańce p. Niny Doli z uczenicami, monologi p. Biesiadeckiego, wesołe produkcye p. Poleńskiego, oraz śpiew dziadowski p. Kalinowskiego o „ogonkach" wojennych.

Również tłumy osób spieszyły do zaimprowizowanego cyrku polowego, umieszczonego na ostatniem wielkiem boisku w północnej części parku. Żołnierze, przebrani w egzotyczne stroje indyjskie, udawali Herkulesów, z czego dziatwa miała wielką uciechę.

W parku, prócz muzyki wojskowej, przygrywała także orkiestra cygańska.

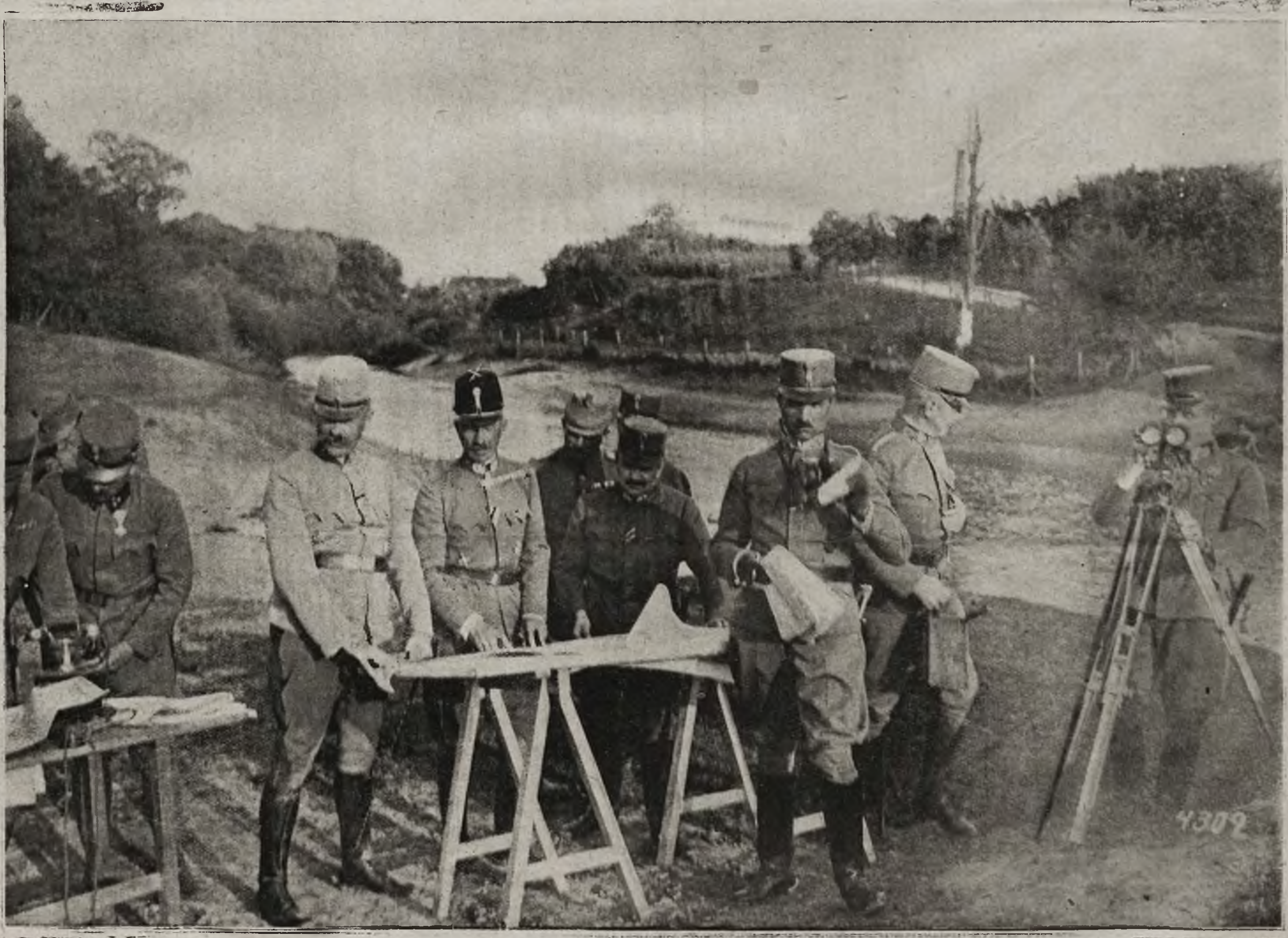
Zabawa trwała do późnego wieczora i przyniosła znaczny dochód, przeznaczony na rzecz ubogiej dziatwy krakowskiej.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze na tytułowej stronie fotografie przedstawiają różne fragmenty z festynu, urządzonego w Krakowie w rocznicę urodzin monarchy.

„Duch Legionów".

Pod powyższym tytułem ogłosił niedawno brygadyer-pułkownik Bolesław Roja znamienną enuncyacyę, która ze względu na treść, jak i osobę autora, wsławionego wodza Legionów, nabiera szczególniejszej wagi. Z powodu obecnego przesilenia i podnoszonych przez pewne swery zarzutów o dezorganizacyi w Legionach, brygadyer-pułkownik Roja pisze:

„Legion, twór dobrych porywów, kształtował się w dwuletnim ogniu, dostosowując organizm do wrogich warunków bytu.



Z pogromu Rosyan: Wódz wojsk austro-węgierskich, jen. Böhm-Ermoli (X), ze swym sztabem przed wkroczeniem do Czerniowiec. (Fot „Bufa".)

Nie istnieje w Legionie jakiś „duch uporu“, rozwinął się natomiast w wysokim stopniu zmysł samozachowawczy. Dzięki temu przetrwał Legion trudny i długi czas, a jeżeli Polsce zasłużył się, to właśnie w takim składzie i stanie, w jakim żyje.

Zdrowym zatem jest duch Legionu.

Czy Legion o budowie i „duchu“ idealnie koszarowym przetrwałby był bez uzupełnień i czy spełniłby swe zadanie?

W Legionie panuje duch żelaznej karności i rygoru.

Nie znanym mi jest i nie zaistniał ze strony oddziałów Legionu wypadek nie spełnienia rozkazu.

Na froncie oddziały legionowe bez wyjątków na rozkaz wiernie i chętnie umierały, obecnie poza frontem są wzorem służbistości, co wybitni przełożeni, dowódcy c. i k. armii austro-węgierskiej, a także niemieckiej rozkazami stwierdzili.

Toteż zapewne tak zdrowy i odporny na wrogie warunki czasów wojny organizm będzie troskliwie i oszczędnie zachowanym, zwłaszcza wobec nigdy nie dającej się dokładnie przewidzieć przyszłości“.

Tak pisze o „duchu Legionów“, obecnie przeżywających krytyczne przesilenie, brygadyer-pułkownik Roja, który jest jednym z najwybitniejszych oficerów legionowych. Od początku wojny był ciągle na froncie, znany z nieustraszonej osobistej odwagi, dwukrotnie ranny (pod Mołotkowem i na Polesiu pod Optową), w powierzonych sobie oddziałach utrzymywał żelazną karność i rygor bezwzględny. Umiał jednak surowość wodza połączyć z uczuciem przywiązania dla swych żołnierzy, w których ukochał ich poświęcenie, wiarę i ideę. Wyszedłszy ze środowiska armii obcej, dzięki sercu patryotycznemu i głęboko po polsku czującemu, w lot uchwycił, w czem jest istota ducha legionowego, zrozumiał, że poza „koszarową“ karnością jest inna siła, która te młode szeregi ożywia i którą właśnie uszanować trzeba. Jest nią Idea Niepodległości i duch poświęcenia. Zrozumienie tej wewnętrznej duszy Legionów spowodowało, że idąc po swej drodze karpackiej, „przez góry, doliny i wody“, jakby jakimś szlakiem okrężnym, musiał się zejść z Józefem Piłsudskim i z jego polskiem ujęciem zagadnienia Czynu i armii narodowej. Nic też dziwnego, że bryg. Roja, który przeszedł i poznał wszystkie brygady, stał się po Piłsudskim wśród szeregów legionowych jednym z najulubieńszych dowódców. Pieśń obozowa i serdeczna wiara żołnierska wyznaczy mu poczestne miejsce w rzędzie narodowych wodzów. Tem boleśniej odczuł żołnierz legionowy wiadomość o uwolnieniu bryg. Roji wraz z pułk. Śmigłym, odczuł to jako nową krzywdę, wyrządzoną jego przywiązaniu żołnierskiemu i dumie rycerskiej. Miejmy jednak nadzieję, że jest to tylko chwilowe przesilenie i że zasłużony wódz Legionów znajdzie się znowu wśród swych żołnierzy, by wraz z nimi stać na straży odradzającej się Polski.



Echa wybuchu w Mogile: Klasztor O. O. Cystersów w Mogile z powybijanemi przez eksplozyę szybami.





Z oswobodzonej Galicyi: Poburzone domy w Stanisławowie.



Nowe walki we Flandryi: Przed atakiem gazowym. (Fot. „Bufa“.)

Echa wybuchu w Mogile.

Jak wiadomo w pierwszych dniach sierpnia w magazynach amunicyi koło Mogiły wydarzyła się stra-



Pierwsza matura w szkole realnej w Wieliczce: Abituryenci z gronem profesorskiem i gośćmi 1. Dyrektor W. Pogorzelski. 2. Ks pr. Hałatek 3 Marszałek pow. Winter. 4 Burmistrz m. Wieliczki Aywas 5. Wiceburmistrz i obrońca Wieliczki w czasie inwazyi w 1914 r. Smrokowski.

szna katastrofa. Mianowicie skutkiem eksplozyi, dwa magazyny (nr. 16 i 17) zostały zupełnie zniszczone, przyczem 48 osób straciło życie.

Wybuch był tak silny, że części zburzonego magazynu zostały rozrzucone w promieniu kilku kilometrów, a w Krakowie, odległym o 7 kilometrów od miejsca katastrofy, powypadały w wielu domach szyby.

O rozmiarach katastrofy krążyły rozmaite pogłoski, często przesadne. Panowała też obawa, że skutkiem wybuchu ucierpiał znacznie starożytny kościół O. O. Cystersów w Mogile. Na szczęście obawy te okazały się płonne.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze fotografia



Z frontów bojowych: Armatka w okopach piechoty.

przedstawia właśnie kościół w Mogile, w którym skutkiem wybuchu wypadły tylko wszystkie szyby.

Pierwsza matura w szkole realnej w Wieliczce.

Słynne na cały świat żupy wielickie doczekały się w bieżącym roku pełnej szkoły średniej. Miasto, zawdzięczające swe powstanie Henrykowi Probusowi, a rozwój bogactwu mineralnemu już zdawien dawna, może poszczycić się, że obok tak głębokiej kultury górniczej wydało i przechowywało ludzi słynnych z wiedzy i umiejętności; dość wymienić tutaj Grzegorza z Sanoka, Kalimacha, Sebastyana Krupkę. Jana z Wieliczki, Gładysza i wielu innych. Dzisiaj otwiera się pole do rozwoju sił intellektualnych na własnej niwie. Dzięki zabiegom obywatelstwa wielickiego i niezmordowanym staraniom burmistrza p. Aywasa udało się wreszcie uzyskać od rządu, przy wybitnych ofiarach ze strony gminy, założenie szkoły realnej ku uczczeniu 60 cioletnich rządów ś. p. cesarza Franciszka Józefa. Dziś ubiegło siedm lat od chwili powstania nowej placówki kulturalnej polskiej, której rozwój i poziom naukowy zawdzięczać należy niestrudzonej działalności dyrektora zakładu, Wiktora Pogorzelskiego, któremu miasto przez swych reprezentantów wręczyło w dniu rozdania pierwszych świadectw maturycznych złoty pierścień z herbem miasta, jako dowód wdzięczności i uznania.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcie pierwczych abituryentów wielickich wraz z reprezentacyą powiatu i miasta, gronem profesorów i zaproszonych gości. Nadmienić wypada, że szkoła cieszy się niezwykłą opieką Rady szkolnej, a grono profesorów złożone z wybitnych sił fachowych, znanych z działalności na terenie krakowskim, jak prof. Michalski, Pichor, Fołkierski, Kryński, Wazel, Wallas, Hannytkiewicz, Fałdarz, Rutkowski.



Z ziemi Chełmskiej: Uczestnicy kursu analfabetów w Jasienniku Starym z kierowniczką p. Greczynówną i gośćmi



Z ziemi Chełmskiej: Dziatwa szkolna w Jasienniku Starym z nauczycielką p. Greczynówną i katechetą ks. Czajkowskim w pośrodku.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

12

Laleczkowata panienka przyjmowała każde powiedzenie Władkowe — bez względu na to, czy było ono mniej lub więcej dowcipne — parsknięciem śmiechu, przyczem przysłaniała sobie wypieszczoną rączką usta i powtarzała napół zachwycona, napół zawstydzona:

— Ach! Co też pan mówi!...

Panna Żarnicka natomiast reagowała bardzo słabo na wszystkie grzecznostki i „bons mots" rozmownego młodzieńca i niekiedy tylko jej anemiczne wargi zaginały się lekko w przymusowym, konwencyonalnym uśmiechu.

Widocznie rakiety dowcipu, wyrzucane co chwila przez Koszczyca, nie olśniewały jej wcale.

Wogóle zdawała się być więcej chłodną, sztywną, przygasłą, niż kiedykolwiek. Siedziała wyprostowana, nie opierając się plecami o poręcz krzesła. Powieki tak nisko opuściła na oczy, że długie rzęsy rzucały cień na blade policzki i nie pozwalały zaobserwować, że chłodny spokój dziewczyny jest tylko pozorny.

Lola przyszła tutaj wesoła, ładna, ożywiona. Błyszczącemi jak dyamenty oczyma poszukała zaraz kogoś i znalazła go.

Łuniewski pospieszył na powitanie pań Żarnickich, co w zgromadzonem u pani Kasztalińskiej towarzystwie dało powód do znaczących spojrzeń, domyślnych uśmiechów i nawet do cichutkich uwag na temat: „Żarnickie łapią kawalera..."

— Mamo — szepnęła piegowata Miecia Kożuchowska do ucha swojej rodzicielce — jak ta Lola patrzy się na niego... To przecież wstyd, tak się wyraźnie narzucać...

— Włosy mi na dłoni wyrosną, jeżeli on się da złapać — odszepnęła równie cicho matka, a jednak w jej nadmiernie ściągniętem gorsetem łonie serce zakołatało obawą: „a nuż się da złapać?! Mężczyźni są głupi... Żarnicka chytra, a Lola ma posag... Ach! Gdyby Micia miała posag..."

Tymczasem Łuniewski, po wymianie zwykłych frazesów powitalnych, zapytał:

— Panie same?... Pani Konradowa przyjdzie zapewne później?

Sznury jedwabnego „pompadurka" drgnęły w ręce Loli.

— Nie, synowa nie przyjdzie wcale — przecięła kwestyę krótko pani Żarnicka, a spojrzenie jej mówiło wyraźnie, że nie życzy sobie dalszych na ten temat pytań.

Zwróciła się teraz do pani Kożuchowskiej, która ją witała bardzo głośno i bardzo serdecznie.

Za matką pospieszyła Micia i nadstawiła Loli do pocałunku swoją piegowatą, silnie upudrowaną buzię.

Jedna jeszcze osoba i to najważniejsza w całem zebraniu, gospodyni domu, prezesowa Kasztalińska, zainteresowała się nieobecnością młodszej pani Żarnickiej.

— Droga pani, czemuż to synowa nie przyszła?... Chętnie poznalibyśmy ją i do naszej pracy wciągnęli...

— Głowa ją boli i dlatego wolała pozostać w domu...

— Tak?... — zdziwiła się prezesowa swoim zwyczajem zupełnie bezceremonialnie. — Patrzcie państwo! Widziałam ją dzisiaj rano na ulicy... Wyglądała tak zdrowo i świeżo... Trzeba jej było dać proszek aspiryny i po bólu głowy. Jakby ręką odjął...

Wąskie wargi Żarnickiej drgnęły zniecierpliwieniem, ale nie odpowiedziała nic i spokojnie witała się ze wszystkimi.

Łuniewski podał paniom Żarnickim krzesła, przedstawił im swego kolegę, obecnie także urzędnika w Centrali, Władka Koszczyca i, przystanąwszy za krzesłem Loli, zaczął obojętną rozmowę.

O Józi nie wspomniał już ani słowem, ale wesołość Loli zgasła. Nie uszedł jej uwagi ten cień rozczarowania, jaki przeniknął po twarzy Łuniewskiego.

Kiedy wszyscy usiedli i w sali zrobiło się cicho, prezesowa zabrała znowu głos.

— Na sekretarki proszę...

„Lorgnon" podskoczyło do góry.

— Panią Żarnicką i panią Kożuchowską.

Zafalowały, zakołysały się bujne kształty pani Kożuchowskiej jak gdyby rozsadzić chciały twardy pancerz sznurówki, żywy rumieniec przebił się przez grubą warstwę pudru, a oczy zajaśniały tryumfująco.

Pani Kożuchowska rzuciła spojrzenie na salę, aby się przekonać, czy stała jej przeciwniczka, pani Figurska, ma dostatecznie „speszoną" minę i popłynęła w stronę prezydyalnego stołu z głośnym szumem „taftowej" halki.

Na twarzy pani Żarnickiej nie odbiło się żadne wrażenie. Spokojnie wstała, przeszła przez pokój wyniosła, zgrabna, elegancka, korzystnie wyróżniająca się dystynkcyą ruchów i ubrania, i, nie spiesząc się, zajęła swoje miejsce koło prezesowej.

— Zanim przedłożonym zostanie porządek dzienny — podjęła pani Kasztalińska — pozwolę sobie w imieniu „Komitetu przedsiębiorstw" i „Sekcyi opieki" i całego zebranego tutaj grona złożyć serdeczne podziękowanie panu Alfredowi Potyrowskiemu za hojną ofiarę, przesłaną na moje ręce. Pan Potyrowski ofiarował na cele dobroczynne naszego komitetu: koron dwieście...

— Aaa! — rozszedł się po sali szmer podziwu i uznania.

Wszystkie oczy zwróciły się ku panu Potyrowskiemu, który, jaśniejąc sztywnym, śnieżnobiałym gorsem koszuli, pochylił swoją pięknie ufryzowaną, łysiejącą głowę w ten sposób, jakby się czuł bardzo zakłopotanym i zmieszanym tem publicznem podziękowaniem.

— Pani prezesowa — wyrzekł słodziutkim tonem — raczyła zapomnieć, że ja prosiłem... że pragnąłem bezimiennie...

— Istotnie? Nie przypominam sobie, żeby pan o tem mówił... Musiałam nie dosłyszeć albo zapomnieć, zresztą, co to znaczy bezimiennie?... Poco piękny uczynek chować pod korcem... Owszem, niech wszyscy wiedzą, naśladują!...

Na te słowa poruszyło się niespokojnie kilka osób, które słusznie, czy niesłusznie, wzmiankę o naśladowaniu zrozumiały jako przymówkę do siebie.

— Proszę pani prezesowej, kto to jest właściwie ten pan Potyrowski? — zapytała pani Kożuchowska szeptem przewodniczącą.

— Bardzo bogaty człowiek... Zakłada w Łykowie jakieś biuro.

— Czy on żonaty?

— Nie, zdaje się, że kawaler.

Oczy pani Kożuchowskiej rozbiegały się, ocenity wartość grubego złotego łańcuszka, połyskującego na czarnej kamizelce pana Potyrowskiego, olśniły się snopami tęczowych świateł, tryskających z brylantowego pierścionka i ze szpilki w krawacie i z zadowoleniem skonstatowały, że panna Micia zdołała już nawiązać z interesującym kawalerem rozmowę.

O! Ta Micia, to mądra dziewczyna!

— Co to za figura ten pan Potyrowski? — zagadnął cicho Łuniewski Lolę. — Czy to stały mieszkaniec Łykowa?

— Nie, on dopiero niedawno przyjechał. Ale dlaczego pan go nazywa figurą?

— Bo to najodpowiedniejsze dla niego określenie. Mnie się zdaje, że ja tego pana gdzieś kiedyś widziałem... Coś mi się tak, jak przez mgłę, majaczy...

— Pan Potyrowski wynajął mieszkanie w naszym domu... Otwiera tutaj biuro handlowo-komisowe...

— Tak? A czem on będzie handlował i czyim jest komisantem?

— Skądże ja wiedzieć mogę? — Lola utkwiła ze zdziwieniem swoje ciemne oczy w twarzy Łuniewskiego.

— Julku — wmieszał się do rozmowy Koszczyc, przechylając się przez poręcz krzesła ku koledze — nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, ale coś mi się tak „ochapia", że ten pan Potyrowski to podobny jest, wiesz, do tego... co wtedy, jakeśmy byli świeżo upieczonymi „frycami" po maturze... Pamiętasz tę awanturę przy kartach u Grünapfla...

— Pamiętam... i właśnie to samo zrobiłem spostrzeżenie.

— Tylko, że tamten był młodszy, miał bokobrody i dużą brodę... no i to był jakiś obdartus...

— Bagatela!... Młodszy... Jedenaście lat temu! A zarost można zgolić u każdego fryzyera i u każdego krawca kupić ubranie...

— Najpewniej mylimy się... Ot! Tak przypadkowe może podobieństwo... Gdzieżby to ten sam mógł być...

— Nie wiem.

Lola zasłyszała coś z rozmowy kolegów i zaniepokoiła się trochę, bo przypomniały się jej ostrzeżenia Józi. Trzeba będzie jednak matce powiedzieć...

— Proszę państwa o ciszę! — prezesowa znowu targnęła dzwonkiem. — Przystępujemy do czytania porządku dziennego: pierwszy punkt: Wybór skarbnika, drugi: „Dzień kwiatka", trzeci: Żywe obrazy, czwarty: Wnioski i interpelacye. Otwieram dyskusyę nad ułożeniem porządku dziennego. Czy prosi kto o głos?

— Ja proszę o głos.

— Pan Adamski ma głos.

— Proponuję przyjęcie porządku dziennego przez aklamacyę. Proszę o poddanie mojego wniosku pod głosowanie.

— Zgłoszono wniosek o aklamacyę. Kto jest przeciw aklamacyi? — pytała Kasztalińska, przekonana, że to zapytanie jest li tylko formalnością.

Dwie ręce podniosły się jednak przeciw aklamacyi.

To pani Figurska objawiała swoje niezadowolenie z tego powodu, że Kożuchowską powołano na godność sekretarki. Prócz niej aklamacyi sprzeciwiała się młoda kobieta w popielatej sukni, ze ściągłą, bladawą twarzą i niedużemi, bardzo bystremi, czarnemi oczami.

— Naturalnie, Tyssowska — mruknęła prezesowa, rzucając złe spojrzenie na kobietę w popielatej sukni i głośno rzekła:

— Wniosek o aklamacyę upadł... Dyskusya otwarta... kto prosi o głos?

— Ja.

— Pani doktorowa Tyssowska ma głos.

Doktorowa podniosła się, oparła szczupłe ręce na poręczy krzesła i zaczęła:

— Chciałam zapytać panią przewodniczącą, co znaczy trzeci punkt porządku dziennego: „Żywe obrazy"? W zaproszeniach była mowa tylko o „Dniu kwiatka".

Prezesowa przyjrzała się doktorowej przez swoje szkła w sposób zupełnie impertynencki, co jednakże zdawało się na młodej kobiecie nie robić żadnego wrażenia.

— Żywe obrazy zakończą „dzień kwiatka" — odparła Kasztalińska — i przyczynią się do zwiększenia dochodów.

— Mojem zdaniem, żywe obrazy są zbyteczne, bo przyczynią się raczej do wydatnego zwiększenia rozchodów, które pewnie i tak będą niemałe. Może to być miła rozrywka, ale w obecnych czasach można się bez niej śmiało obejść i nawet trzeba. Jeżeli ktoś chce się koniecznie bawić, to niech sobie to urządza prywatnie, a nie pod firmą instytucyi humanitarnej. Dlatego też stawiam wniosek o skreślenie z porządku dziennego trzeciego punktu.

Kasztalińska poczerwieniała, jakby jej kto wylał wrzącej wody na twarz i syknęła ze złością:

— Pani doktorowa zawsze oponuje i zawsze poucza... Otwieram dyskusyę nad wnioskiem.

Do dyskusyi nikt się nie zgłosił, przystąpiono do głosowania i wniosek Tyssowskiej upadł olbrzymią większością.

Mamy i panny nie pozwoliły sobie odebrać takiej okazyi, jak „żywe obrazy".

Prezesowa z tryumfem popatrzyła na Tyssowską. Doktorowa znana była jako opozycyonistka, która ma zawsze jakieś swoje „ale", najczęściej, niestety, bardzo trzeźwe i trafne.

Mimo to wszelkie wnioski i projekty doktorowej upadały, a matadorki łykowskiej dobroczynności, z Kasztalińską na czele, znosiły ją tylko ze względu na stanowisko jej męża, bardzo wziętego lekarza.

Porządek dzienny uchwalono w całości i przystąpiono do dalszych obrad.

— Przystępujemy do wyboru skarbnika. Proszę podawać kandydatów.

— Pan Potyrowski... — ozwało się kilka głosów.

Kasztalińska skinęła głową z uznaniem. Co prawda, użyła ona jeszcze poprzednio swego wpływu, aby wysunąć kandydaturę hojnego ofiarodawcy.

— Czy pan Potyrowski przyjmie kandydaturę?...

Kandydat zrobił minę skromnej, a uznanej wielkości.

— Wprawdzie nawał pracy... ale tak szlachetny cel... i jeżeli łaskawi państwo sobie życzą... to przyjmuję.

— Proszę zgłaszać inne kandydatury.

Innych kandydatur nie było. Możeby się i znalazły, ale cóż, kiedy zebrani mieli to przekonanie, że, jak na nic się zda płynąć wodą przeciw prądowi, tak równie daremnem jest sprzeciwiać się wyraźnej woli prezesowej Kasztalińskiej, jeżeli chodzi o „jej" komitet.

Łuniewski jednak głosował ostentacyjnie przeciwko kandydaturze Potyrowskiego, a Koszczyc wstrzymał się od głosowania.

Świeżo obrany skarbnik komitetu obrzucił młodych ludzi szybkiem, dyskretnem spojrzeniem... Oczy błysnęły mu zielonawo, ale zaraz zwróciły się w innym kierunku.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Proszę o głos!

— Pani doktorowa Tyssowska ma głos!

— W kwestyi zapytania! Ileż to dzieci znajduje się w „żłóbku" dla niemowląt, na dochód którego urządzamy „dzień kwiatka"?...

Prezesowa nerwowo stuknęła szyldkretową rączką w stół.

— Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć dokładnie. W każdym razie jest to bardzo pokaźna liczba — odpowiedziała, a w głosie jej zabrzmiała chrypliwa, fałszywa nuta hamowanego gniewu.

— Wedle moich informacyi liczba ta nie przekracza trzydziestu — ciągnęła z niewzruszonym spokojem Tyssowska — więc zapytuję, czy warto urządzać specyalnie „dzień kwiatka"...

— Jakto, pani uważa, że nie powinniśmy troszczyć się o „żłóbek", ponieważ...

— Ależ, nigdy w życiu. Sądzę tylko, że daleko praktyczniej będzie, jeżeli wszyscy, jak tu jesteśmy zebrani, złożymy pewną kwotę na cele „żłóbka". W ten sposób dzieci dostaną więcej, niżby im przypadło ze zbiórki po odtrąceniu kosztów urządzenia i wydatków administracyjnych, a nie będzie kłopotów żadnych, ani zachodów...

— Cóż znowu!

— Co za pomysł!

— Nigdy!

— To jest negacya wszelkiej działalności dobroczynnej!

— Poświęca się czas, pracę, energię, to chyba dosyć...

— Daje się inicyatywę...

— Ile się to ubrania zniszczy, ile bucików zedrze przy takim „kwiatku", a to takie drogie — jęknęła pani Wichurzyna, obdarowana przez los tak zwaną „fornalką" córek.

— Nie można żądać zadużo...

— Każdy ma swoją rodzinę i swoje wydatki.

— Jeżeli kogoś stać na to...

— Proszę o głos!

— Proszę o głos!

Że wszech stron posypały się okrzyki protestu. Na sali wszczął się mały tumult. Członkowie komitetu zrozumieli, że Tyssowska zamierza dobrać się do ich kieszeni i bronili się zawzięcie.

Projekt doktorowej zwalczano zajadle, to też wniosek przepadł beznadziejnie, co wszakże wnioskodawczyni nie zdołało wyprowadzić z równowagi.

Czarne jej, niewielkie, żywe oczy miały taki wyraz, jakby ich właścicielka zanosiła się od wewnętrznego śmiechu.

— Ależ, moja pani, ta Tyssowska to poprostu niebezpieczna waryatka — powiedziała pani Figurska do pani Wichurzyny. — Doprawdy, gdzie ten Tyssowski wykopał taką osobliwość? Gdzie on ją poznał?...

— Mówią, że na uniwersytecie...

— To ona była na uniwersytecie?!

— A podobno była!

— No, teraz to rozumiem! Studentka!!...

— Kiedy teraz to już takie czasy nastały z temi studyami. Moja Lutka także wybiera się na uniwersytet — wzrok pani Wichurzyny przesunął się z czułością po świeżej, energicznej twarzy panienki ze śmiałym, zadartym noskiem. — Sama się przygotowuje do matury i już jakiś tam wstępny egzamin zdała... Żeby pani wiedziała, co to za zdolne dziecko i jakie pracowite!

— Jabym mojej córce nigdy na to nie pozwoliła!

— E! Bo pani nie masz czterech córek, tylko dwóch synów...

Przeszło pół godziny zajęła dyskusya o tem, jaki kwiatek ma być sprzedawany. Wymieniano najrozmaitsze okazy flory krajowej i zagranicznej, aż wreszcie po długich, chwilami namiętnych sporach, wybór przechylił się na stronę skromnej, poetycznej niezapominajki.

Władek Koszczyc podał żartobliwy projekt, aby zamiast kwiatów sprzedawano ziemniaki, bo to będzie najbardziej na czasie i najpraktyczniej. On zobowiązuje się dostarczyć komitetowi cały korzec tego tak cennego obecnie specyału.

Biało-różowa panna Tosia, sąsiadka Koszczyca, przyjęła ten pomysł kaskadą głośnego śmiechu i swojem sakramentalnem: „Ach! Co też pan mówi!"

Prezesowa Kasztalińska uśmiechnęła się pobłażliwie i powiedziała:

— Oj! Was młodych żarty się trzymają, a tutaj chodzi o rzecz poważną, nie o żadne „hocki klocki"...

Pani Wichurzyna trąciła łokciem swoją średnią córkę.

— Helka — szepnęła — a zakręćno się zręcznie koło tego Koszczyca i zapytaj go, tylko tak, żeby Kożuchowska nie słyszała, po czemu to on te ziemniaki sprzedaje!...

— Ależ, mamo, on tylko żartował!...

— Tak?... Żartował!... A ja myślałam już, że przynajmniej coś z tego komitetu przyjdzie...

Teraz wysunęła się kwestya, czy owe niezapominajki mają być papierowe, perkalowe, czy jedwabne. Znowu ożywiona dyskusya, w której ostatecznie zwyciężył perkal. Tyssowskiej udało się wreszcie przeprowadzić swój wniosek, aby kwiatów nie sprowadzano z Wiednia, jak to było początkowo w planie, ale zamówiono je w łykowskiej pracowni.

— Teraz przystępujemy do rozmieszczenia stolików...

Pośród pań dało się zauważyć żywe poruszenie. Kilkanaście par oczu zwróciło się ku prezesowej.

Pani Kasztalińska wprowadziła bowiem rządy despotyczne i podczas rozlicznych „kwiatków" i „zbiórek" nie zapytywała nigdy, gdzie która z dobroczynnych dam życzy sobie umieścić swój stolik, ale sama decydowała w tej kwestyi.

Wiedziała z doświadczenia, że panie chciałyby wszystkie rozlokować się na „deptaku", a panienki pragną uwijać się z puszkami li tylko po najgłówniejszych, najbardziej ożywionych ulicach.

— Pani Kożuchowska z córką i z panną Wisią Wichurzanką koło kościoła parafialnego...

Rozpromieniła się twarz pani Kożuchowskiej. Taki doskonały punkt! Tylko, po co ta Wisia?! Takie to zalotne, wygadane i choć w domu bieda aż piszczy, tak się zawsze umie jakoś wystroić... No, ale trudno!... Z prezesową niema co zadzierać!...

— Panie dobierają sobie same panów — zadecydowała Kasztalińska i mówiła dalej — Rynek: pani Żarnicka z córką i synową...

Pani Żarnicka, która dotychczas spokojnie notowała uchwały, wstrzymała rękę i przestała pisać.

— Przepraszam panią prezesową... Małe sprostowanie... Synowa moja w „dniu kwiatka" udziału czynnego nie weźmie.

Lola zerknęła z pod rzęs na Łuniewskiego, który przestał nagle mrużyć oczy.

Prezesowa tak się zadziwiła, że aż zapomniała o swojem „lorgnon".

— Dlaczego to, droga pani, dlaczego?! Przecież ten jej ból głowy nie będzie wieczny!...

— Poprostu nie ma ochoty. Nie można jej przecie zmuszać!... — odpowiedziała Żarnicka bez cienia zakłopotania, chociaż czuła na sobie zaciekawione spojrzenia.

— Namówimy ją, namówimy!

— Nie da się namówić, zaręczam pani.

— Jakto, nie usłucha świekry? — indagowała Kasztalińska. — Czyżby była taka uparta?... Jakoś mi na to wcale nie wygląda!...

Pióro w palcach Żarnickiej drgnęło prawie niedostrzegalnie.

— Sądzę, że dyskusya na ten temat jest zupełnie jałowa i szkoda na nią czasu. Bez synowej mojej obejdzie się „kwiatek" wyśmienicie, a ja jej przymuszać nie chcę i nie mogę...

Ale Kasztalińskiej nie tak łatwo było wydrzeć ofiarę, którą sobie upatrzyła. Nie lubiła zresztą ustępować, a między nią i Żarnicką oddawna już istniała starannie ukrywana, głucha niechęć.

Prezesowa nie uwierzyła w rzekomą odmowę Józi i, domyślając się, że Żarnickiej zależy specyalnie na tem, aby synowej na szerszą widownię towarzyską nie wysuwać, postanowiła tem więcej postawić na swojem.

— Ano! To chyba spróbuję ja szczęścia u tej młodej, a tak widocznie upartej jejmości... Jużbym też chyba nie była sobą, żeby mi się jej nie udało wciągnąć!...

Świekra Józi musiała użyć całej swej siły woli, aby się opanować i nie zdradzić gniewu, którym wewnętrznie wrzała.

Ktoś zaśmiał się prawie głośno. Na wielu twarzach widać było znaczące uśmiechy. Lola rzuciła matce wymowne spojrzenie.

Pani Żarnicka zrozumiała, że dalszy opór jest śmieszny i będzie tylko wodą na młyn plotkarek łykowskich. Znała dobrze Kasztalińską i wiedziała, że jeżeli ta zabije sobie jakiego „ćwieka" w głowę, to nie cofnie się przed żadnym środkiem, prowadzącym do celu.

To też — chociaż chętnie rozbiłaby o głowę pani Kasztalińskiej stojący przed nią kałamarz, pełny atramentu — zdecydowała się jednakże wycofać z honorem i ustąpić, przynajmniej na razie.

— Pani prezesowa — wyrzekła ze słodkawym uśmiechem — doprawdy niedościgniona jest w swojej gorliwości w służbie społecznej... I wszystkich chciałaby pani zaprzągnąć...

— Bo tak być powinno! Wszyscy! Wszyscy do pracy!... To na biednych!... Na sieroty!... Na niemowlęta!... To święty obowiązek dopomódz im!...

— Uznaję to w zupełności i dlatego postaram się wpłynąć na synowę... Może... może mi się uda...

— O, uda się pani napewno! — zapewniała Kasztalińska ze złośliwym uśmiechem. — Więc pani przyrzeka nam w imieniu synowej!...

— Warunkowo... o ile ona się zgodzi...

— A dlaczegóżby się zgodzić nie miała?! Do czego to podobne, żeby taka młoda kobieta zupełnie się odsuwała!... No, uważam to za załatwione!... Idziemy dalej... Pani Wichurzyna pod pocztą... pani Figurska koło „Sokoła"... pani Mizerska... ulica Trzeciego Maja...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wieczór był bardzo ciepły, duszny, parny, kiedy członkowie komitetu „dnia kwiatka" powracali do domów z posiedzenia.

— Uważałeś, Tosiu — mówiła pani Mizerska, uczepiwszy się ramienia swego, o wiele od niej niższego wzrostem męża — że ta Tyssowska robi się poprostu niemożliwa!... Ja dziwię się, jak ten mąż jej pozwala!... Co prawda, to i o nim także różne rzeczy mówią!...

— O Tyssowskim?... — zdziwił się mąż — O nim chyba wszyscy jedno tylko mówią, że to tęga głowa i porządny człowiek!...

— Ja słyszałam, że on jest socyalistą!... czy anarchistą!... czy czemś tam jeszcze gorszem!...

— Eee!... Nie opowiadaj!...

— No, ale ona to już napewno do jakichś „masonów" należy!... Pomyśl sobie, czego jej się znowu zachciało!... Żebyśmy sobie same stoliki dekorowały!... Przy takiej drożyźnie!...

— Chociaż wiesz, tak właściwie... te kilka koron na kwiaty!...

— Naturalnie! To jest praktyczność męska!... Tybyś takiem gospodarowaniem wnet puścił żonę i dzieci z torbami!... Ja nie będę pieniędzy wyrzucała za okno!...

— A któż ci też każe wyrzucać pieniądze za okno?...

Pani Wichurzyna z panią Figurską powracały razem, omawiając szczegóły zebrania. Przodem postępowały cztery panny Wichurzanki w towarzystwie jednego tylko kawalera, magistra farmacyi, pana Fitasiewicza, który w dodatku odznaczał się tak niezwykle małym wzrostem, że prawie ginął pośród czterech rosłych, bynajmniej nie eterycznych dziewcząt.

— Moja pani, ta Kasztalińska, to rządzi się, jak szara gęś...

— A rządzi się!...

— Już się zwąchała z tą plotkarką Kożuchowską!... A zauważyła pani, jak ta Micia leci na tego Potyrowskiego!... Ale on nie głupi!... Bo to i brzydkie, i pretensyonalne, i stare już... Micia urodziła się w roku... poczekajno pani... niech sobie przypomnę...

Pani Wichurzyna westchnęła z cicha. Ona dobrze pamiętała, że Micia ma tyle lat, ile jej najstarsza córka.

Z innej znowu strony płynął szept:

— A to się Kasztalińskiej udało z tą Żarnicką!...

— Pyszne było!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z ziemi Chełmskiej.

(Korespondencya).

Królestwo Polskie pod względem oświaty i uświadomienia narodowego stało bardzo nisko pod rządami knuta moskiewskiego. Nie znały wsie nasze szkół, nie widziały miasta i miasteczka obchodów narodowych, a rzadko w jakiejś chacie rozlegała się piosenka Legionów.

Jakże inaczej jest dzisiaj!

Dziś niemal każda rocznica pamiątkowa obchodzona jest w miastach i miasteczkach uroczyście, dziś prawie w każdej wiosce jest szkoła, do której dziatwa tak chętnie się garnie, że często jedna siła nauczycielska uczy aż... 150 dzieci! A trzeba przyznać, że jak chętnie dziatwa garnie się do szkoły, tak i nauczycielstwo z poświęceniem każdej chwili czasu i zdrowia pracuje nad oświeceniem młodych główek i ogrzaniem serduszek gorącą miłością Ojczyzny. To też nie dziw, że dziś wieśniak z Królestwa wie, czem jest i co winien ziemi, która go chlebem swym żywi, dziś dziecko umie nie tylko czytać i pisać — ale myśleć i czuć po polsku.

A jakże się serce raduje, słysząc pastuszka, śpiewającego o tej „Wandzie, która leży w polskiej ziemi“, o Krakusie, co zabił smoka, o Wodzu w sukmanie — lub opowiadającego młodszej dziatwie, która jeszcze do ukochanej szkółki nie chodzi, o przybyciu Lecha na ziemię polską, o gnieździe Orła Białego.

A czyjąż zasługą jest ta zmiana?

Tych, którzy niosą w ciemny lud wiejski kaganiec oświaty — nauczycielstwa.

W ziemi Chełmskiej, w parafii krzeszowskiej, jest 7 szkół. W każdej z nich pracuje nauczyciel lub nauczycielka szczerze i chętnie, ale zwłaszcza dwie szkoły — w Krzeszowie mieście i Jasienniku Starym — prowadzone są pod każdym względem wzorowo. Wykazał to najlepiej koniec roku szkolnego, czyli tak zwany popis.

W Krzeszowie naukę prowadzi p. Ludmiła Tucholska. Popis w jej szkole odbył się bardzo uroczyście. Po modlitwie i odśpiewaniu pieśni religijnej, dzieci deklamowały i śpiewały różne utwory patryotyczne. Prawdziwą niespodzianką dla publiczności było odegranie dwu sztuczek scenicznych, p. t. „Swoboda“ i „Racławice“. Zwłaszcza tę ostatnią młodzi amatorowie wykonali wprost świetnie. Na zakończenie odśpiewano pieśń: „Szumny wiatr powiał od stepu“.

Jak lud ceni pracę nauczycielską, świadczył aż nadto podniosły nastrój, jaki panował podczas całej uroczystości, tudzież gorące podziękowania, składane pani Tucholskiej przez rodziców dziatwy szkolnej.

Podobnie odbył się popis w Jasienniku Starym,



Z frontów bojowych: Kościół w Gorjańsku zburzony w czasie dziewiątej ofenzywy na włoskim froncie.

gdzie nauczycielka, p. Danuta Greczynówna, pracuje z wielkiem poświęceniem nad ludem. Oprócz pracy, nakreślonej ściśle przez program szkolny, który bardzo sumiennie wypełnia, urządziła kursy dla analfabetów, z młodzieży starszej męskiej i żeńskiej i te prowadzi wieczorami. Zaprowadziła we wsi zabawę: krokiet, ucząc jej zasad nie tylko dzieci, lecz i starszych, co stanowi nader miłą, etyczną i pożyteczną rozrywkę dla młodzieży. Od czasu do czasu gromadzi włościan do szkoły, urządzając odczyty i różnego rodzaju pogadanki lub czytając im gazety. Przez maj cały, każdego wieczoru przewodniczyła ludowi na majowych nabożeństwach, u nas zwykle urządzanych, ucząc lud nowych pieśni i nieznanych melodyi. A co jest wielką niespodzianką — nawet w czerwcu trzy razy w tygodniu wieczorami pod figurą urządzała czerwcowe nabożeństwa, również im przewodnicząc. To też panna Danuta Greczynówna swojem postępowaniem, zacnością i niezwykłą pracą zjednała sobie serca mieszkańców całej wsi. A oto jak wyglądało zamknięcie roku szkolnego w jej szkole, czyli popis, na którym byłem przewodniczącym:

Po modlitwie prześpiewano pieśń religijną. Rzewny obraz przedstawiało dwóch maleńkich chłopczyków, mówiących: „Katechizm polskiego dziecka“. Jedno maleństwo pytało: „Kto ty jesteś?“, a drugie odpowiadało: „Polak mały“ i t. d. Jeszcze mniejszy „chłopuś“ w czerwonej rogatywce, wszedłszy na podwyższenie, rodzaj małej scenki, otoczonej wieńcem, oddeklamował wierszyk „Ziemia ojczysta“ bardzo dobrze.

U nas, w Chełmszczyźnie, dzisiaj dziecko polskie jawnie w szkole deklamuje „Katechizm polskiego dziecka“, „Ziemia ojczysta“ i śpiewa: „Ja się chlubię, żem Polakiem“. Boże, dzięki Ci za to, żeś nas wybawił z niewoli tyrana!

Właśnie to: „Ja się chlubię, żem Polakiem“, odśpiewano nader pięknie i wesoło. Były deklamowane i śpiewane jeszcze inne utwory, program jednak nie został wyczerpany z powodu wielkiego zaduchu, jaki powstał w szkole zbyt małej, a przepełnionej dziećmi i starszymi, tem bardziej, że okna i drzwi były formalnie zapchane ludźmi, którzy nie mogąc pomieścić się w szkole, do nich się cisnęli. Po wyjściu ze sali, wszystkie dzieci, uczęszczające do szkoły, z panną Danutą Greczynówną, nauczycielką, panią Heleną Kiwerską, miejscową obywatelką, wielce przychylną dla ludu i oświaty ludowej i mną, jako katechetą, na czele, zostały ugrupowane i dokonano zdjęcia fotograficznego. Radość, zadowolenie i niemal entuzyazm malowały się na twarzach wszystkich obecnych. Należy dodać, że szkoła bardzo gustownie udekorowaną była zielenią i kwiatami. Oprócz kilkorga dzieci, wszystkie inne przeszły na stopień wyższy z postępem bardzo dobrym, dobrym i dostatecznym. W pięknych słowach p. Danuta Greczynówna zachęciła dzieci do



Z pogromu Rosyan: Szczątki rosyjskiego trenu w jednej ze wsi pod Tarnopolem.



Z pogromu Rosyan: Opatrywanie rannych jeńców rosyjskich pod Złotą Górą. (Fot. „Bufa")

niezaniedbywania książki w czasie wakacyi, wyrażając jednocześnie zadowolenie z ich postępu i pracy, jakoteż nadzieję, że nadal pilnemi pozostaną.



Szkoła polska w Beraunie pod Pragą

Z życia uchodźców:



Kurs dla kobiet w Beraunie pod Pragą.

We wszystkich siedmiu szkołach naszej parafii krzeszowskiej odbyły się popisy mniej lub więcej uroczyście, z mniej lub więcej podniosłym nastrojem, lecz śmiem wątpić, czy który z nich mógłby iść w porównanie z popisem szkoły w Jasienniku Starym.

Cześć takim pracownikom — cześć i chwała!

Ks. Aleks. Czajkowski.

Z pogromu Rosyan.

Już sześć tygodni trwają walki, których inicyatorem jest Kereńskij. Nie przeczuwał, dając rozkaz ofenzywy w Galicyi, jakie będą następstwa tej decyzyi, wymuszonej zresztą przez aliantów. Ofenzywa mogła udać się, lub nie — to były prawdopodobnie jedyne możliwości, wzięte przez dzisiejszego dyktatora Rosyi pod rozwagę. A tymczasem wyłoniła się rzecz zupełnie inna. Nastąpiła kontrofenzywa sprzymierzonych i nie tylko sparaliżowała rozmach rosyjski na odcinku stanisławowskim, lecz nadomiar pod Zborowem, wyważywszy bramę rosyjskiej warowni, z błyskawiczną szybkością zmusiła nieprzyjaciela do wydania niemal całego nabytku w Galicyi wschodniej i na Bukowinie.

Do zupełnego pogromu przyznali się też Rosyanie z dziwną szczerością w swych komunikatach urzędowych, a stwierdził to również telegram generalissimusa rosyjskiego, Kornilowa, wystosowany do ministra wojny. Telegram ten lepiej charakteryzuje klęskę rosyjską, niż najbarwniejsze opisy korespondentów, dlatego zamieszczamy go w całości.

„Armia ciemnych ludzi — woła rozpaczliwie jen. Korniłow — którzy potracili głowy i których rząd nie ustrzegł od systematycznego rozkładu, znajduje się w pędzie na polach, których nawet nazwać nie można polami bitwy. Panuje nieposkromiony strach, nieskończona zelżywość i hańba, czego rosyjska armia od czasu, jak istnieje, nie znała.

Albo temu uciekaniu położy się koniec i rząd rewolucyjny zmyje plamy hańby, albo też, jeśli to niemożliwe, nieuchronny bieg dziejów postawi innych ludzi na czele rządów, którzy zmyją hańbę, a równocześnie zniszczą zdobycze rewolucyi. Nie wyjdzie to na szczęście krajowi. Lecz niema wyboru: rewolucyjna władza rządowa musi wejść na trwałą drogę rewolucyi, która wyłącznie i jedynie prowadzi do ocalenia ojczyzny i wolności.

Ja, generał Korniłow, którego całe życie, od pierwszego dnia świadomej egzystencyi po dziś dzień, poświęcone jest wiernej służbie dla ojczyzny, oświadczam, że ojczyzna idzie na zagładę i dlatego żądam, niepytany, natychmiastowego zastanowienia ofenzywy na wszystkich frontach dla zachowania i ocalenia armii, aby ją zreorganizować na podstawach surowej dyscypliny i aby nie poświęcać żywotów niewielu bohaterów, którzy mają prawo obaczyć dni lepsze. Jest rzeczą nieodzowną, by jako zarządzenie tymczasowe, wyłącznie trudnem położeniem wywołane, zaprowadzić karę śmierci i na widowni wojennej urządzić sądy polowe. Nie należy zapominać, że łagodne zarządzenia rządu doprowadziły do zachwiania tak nieodzownej dyscypliny w armii i wywołują rozbestwienie mas, nie dających się niczem powstrzymać, co ujawnia się w wypadkach gwałtów, napadów rozbójniczych i morderstwach.

Należy stwierdzić, że śmierć gospodaruje w armii nie tylko przy pomocy kul nieprzyjacielskich, lecz w wielu wypadkach posługuje się także rękami własnych braci. Kara śmierci ocali życie wielu niewinnym, a pociągnie za sobą zgubę nielicznych tchórzów i zdrajców. Oświadczam, że nigdy w życiu nie zgodzę się na to, by służyć za narzędzie zguby



Z pogromu Rosyan: Charakterystyczne typy jeńców rosyjskich, wziętych do niewoli w walkach pod Złotą Górą. (Fot. „Bufa")

ojczyzny. Oświadczam, że jeśli rząd nie zaakceptuje proponowanych przezemnie zarządzeń i pozbawi mnie tym sposobem jedynego środka ocalenia armii, to ja, generał Korniłow, z własnej woli złożę uprawnienia naczelnego komendanta".

Pod depeszą tą Korniłowa podpisał się komisarz południowo zachodniego frontu, Saminkow, dodając uwagę: „Co do mnie, przyłączam się do wywodów gen. Korniłowa w zupełności i popieram wszystko, co on powiedział".

Na uwagę zasługuje, jako poparcie również uwag zrozpaczonego generała, opowiadanie jednego z jeńców o konferencyi delegatów, w której wzięli udział delegaci wszystkich pułków na froncie jednego korpusu i kilku dywizyi z poza frontu. Delegaci pułków pozostających na froncie, wykazali dokładnie, jak silne są stanowiska sprzymierzonych. Wskazali oni na ogromne straty, jakie ponieśli Rosyanie w zabitych, rannych, w jeńcach i w utraconym materyale wojennym podczas swej niefortunnej ofenzywy.

Z życia uchodźców.

W Beraunie obok Pragi mieściła się szkoła dla uchodźców polskich z Galicyi we wspaniałym gmachu gimnazyum, pod opieką więcej, niż ojcowską, dyrektora Wagnera. Szkoła prosperowała też znakomicie i zdobyła uznanie całego okręgu. Przy szkole istniała biblioteka szkolna dla młodzieży, jakoteż biblioteka ludowa.

W godzinach wieczornych urządzono kurs dla starszych dziewcząt i kobiet, na którym odbywały się: pogadanki, wykłady i nauka kroju i szycia. Duszą i pomocą był we wszystkiem dyrektor Wagner. Serdeczną opieką otaczał też szkołę miejscowy ks. dziekan, a gorliwie pracował katecheta gimn., prof. ks. Matejko, który starał się w przystępny sposób nauczać religii, nie znając prawie polskiego języka.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze fotografie, illustrują życie tej szkoły polskiej na obczyźnie.





Z życia uchodźców: Kurs języka polskiego dla Czechów w Beraunie pod Pragą. Uczestnicy polskiego przedstawienia amatorskiego w Beraunie pod Pragą.

Nowe walki we Flandryi.

Gdy na Wschodzie ofenzywa Rosyan skończyła się ich nową klęską, o czem piszemy na innem miejscu, w Flandryi rozpoczęły się w ostatnich dniach nowe ataki angielskie. Po gwałtownej kanonadzie artyleryjskiej, wspomagane ogniem huraganowym idą znowu do szturmu oddziały angielskie, okupując lokalne, nieznaczne sukcesy olbrzymiemi stratami...

Przebieg tych walk, jakie od szeregu miesięcy toczą się na froncie flandryjskim, a obecnie rozgorzały ze zdwojoną siłą, opisuje barwnie znany korespondent włoski, Barzini.

„Operacye — pisze — rozwijają się wśród ulewnego deszczu, w cieniu wzburzonego nieba. Cała olbrzymia płaszczyzna flamandzka spowita w gęstej, mroźnej mgle. Zdawałoby się, że znak, dany do ataku, zadecydował o rozpoczynającej się zimie. Walki na ziemi flamandzkiej — to walki wśród wody i bagnisk. Żołnierze biją się wśród całej sieci



Z pogromu Rosyan: Jeńcy rosyjscy na placu opatrunkowym pod Złotą Gorą.

kanałów, rzek, dołów i trzęsawisk, w okolicy na pół zalanej, między sadzawkami i kałużami — w błocie i gnoju... Wybuchy pocisków rozpryskują błotnistą ziemię nakształt gejzerów; wyboje i nory, pozostające po uderzeniu granatów, wypełniają się



Z pogromu Rosyan: Rosyjska amunicya zdobyta pod Kozową.

wodą; wielu rannych ginie śmiercią topielca w tych bagniskach, wytworzonych i robotą kul armatnich.

Jest rzeczą niemożliwą podać dokładny obraz tej rozległej, głębokiej, zwartej operacyi, tego olbrzymiego huraganu ognia i ludzi, który rozszerza się od jednego do drugiego końca na horyzoncie i obejmuje, zacieśnia silnym półpierścieniem ruiny i zawaliska w Ypres. Tocząca się bitwa pochłonęła, porwała i uniosła wszystkie uzbrojone narody, które zalegały w tej okolicy. Nie widzimy już nic innego, jak tylko opuszczone obozowiska, opróżnione baraki, opustoszałe aerodromy i wyludnione wsie. A spustoszenie, wyludnienie, opróżnienie jest tem większe, im bardziej zbliżamy się do miejsca toczących się bojów.

Nieprzyjaciel, wyczekujący ataku, wzmocnił front począwszy od kwietnia kilkunastu dywizyami, wyszkolonemi specyalnie w szermierce obronnej. Każda taka dywizya nie posiada więcej, aniżeli 5000 piechoty, reszta bowiem żołnierzy, wziętych z piechoty, obsługuje działa armatnie i kartaczownice. Rozdzielono pomiędzy dywizye tę wielką ilość lekkiej artyleryi, dział, dających się bardzo szybko ustawić, przeznaczonych do kontrataków. Nieprzyjaciel, wiedząc dobrze, że z trudem tylko zdoła się podczas piekielnych ataków utrzymać w pierwszej linii bojowej, pokłada największą nadzieję w kontratakach, wykorzystując trudności, jakie napotyka artylerya koalicyi przy posuwaniu się poprzez teren, zorany pociskami, ku poparciu piechoty natychmiast po wykonanym ataku. Mgła i deszcze nie pozwalają lotnikom śledzić ruchów nieprzyjacielskich. Samoloty angielskie muszą obniżać się na 100 metrów, aby módz wogóle cośkolwiek dostrzedz, a stan terenu zwiększa jeszcze bardziej niezmierne trudności.

Na tych olbrzymich przestrzeniach błotnistych zniewoliła woda przeciwników do budowania odmiennego, wyniosłego systemu transzy i okopów. Nie można tu zakopywać się i zagłębiać, trzeba konstruować; Niemcy przeto potworzyli i pobudowali kryjówki i transze z wielkim nakładem cementu, chronione przez olbrzymie wały. Bombardowanie zniszczyło i zniweczyło wszystkie ochrony i zagrody; to też wojska atakujące nie wszędzie mogą sobie naprędce urządzić osłonę. Zużywają one, gdzie się da, nory i jamy, potworzone przez granaty, na transze, i walczą, brnąc w wodzie nieraz po pas i szyję. Pozycye trzeba łączyć mostkami i deskami poprzez bagna i kałuże.

Trudno sobie wyobrazić olbrzymie przygotowanie ofenzywy na bagnistem terytoryum, gdzie zdaje się niemożliwym ruch lub posuwanie wojsk, a gdzie walczą przecież armie całe. Same tylko wojska francuskie, obejmujące skrajne lewe skrzydło operujących armii musiały zarzucić w nocy z 30 na 31 lipca aż dwadzieścia siedm pomostów na kanale Ysery, któreby umożliwiły przetransportowanie przez nie wielkiej liczby pancernych samochodów, zwanych „tankami".

„Tanki" miały podczas ataku największe zadanie i stanowiły jeden z najcharakterystyczniejszych dzi-



Z frontów bojowych: W zburzonym kościele w Gorjańsku (na włoskim froncie).

wów obecnej walki. Przebywały kanały i bagniska i wynurzały swe potworne kadłuby, zbłocone i zwalane, rzucając się na gniazda kartaczownic. Niektóre miejscowości, jak np. St. Julien, na którego gruzach odbywa się obecnie przypływ i odpływ grozy wojennej, zdobyte zostały przez „tanki".



Z pogromu Rosyan: Jeńcy rosyjscy poza linią bojową. (Fot. „Bufa")

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

II

— Z dochodów?

— Tak, mój stary, kupimy sobie domek z ogródkiem, zamkniemy tę budę, a ty podasz się do dymisyi.

— Co ty mówisz?

— Zobaczysz, jak będziemy szczęśliwi. Nie będziemy już pracować i mordować się dla drugich i wszyscy nam się nisko kłaniać będą.

Bruchon słuchał, pił i otwierał szeroko oczy, a twarz jego przybierała wyraz błogiego zadowolenia.

Nigdy się nie czuł tak szczęśliwym! Być właścicielem domu z ogródkiem, było marzeniem całego jego życia. Ale to marzenie obecne nie trwało długo.

Kiedy wybiła godzina piąta, oprzytomniał zupełnie i zerwał się z krzesła.

— Wszystko to ładne — rzekł — ale nie mogę się spóźnić. Jestem jeszcze w służbie, a służba, to święta rzecz!

— Tak, tak, służba to rzecz święta! — przytaknęła pani Bruchon.

Woźny czuł jakąś ociężałość i lekki zawrót głowy, pozatem jednak nogi nie odmawiały mu jeszcze posłuszeństwa.

— Hm! Hm! — mruknął — wypiłem może kieliszek za wiele, ale ta twoja kiełbasa była dyabelnie słona, stara!

Pani Bruchon roześmiała się głośno.

— Eh! To nic! — odparła — Przejdzie ci to jak wyjdziesz na świeże powietrze, a zresztą twoja torba niewiele ci zaważy. No,· idź już, niedługo się zobaczymy.

— Jakto? — szepnął Bruchon zdziwiony.

— Mam coś do załatwienia na ulicy Coquilliere, będę tam koło godziny siódmej, a kiedy powrócisz do ministeryum, pójdę z tobą, a potem powrócimy razem do Belleville.

Bruchon już nic na to nie odpowiedział, miał tak mało czasu, że zaledwie zdążył porwać kapelusz i wybiedz.

Znalazłszy się na ulicy, doznał silniejszego zawrotu głowy, ale opanował się wkrótce i już równym krokiem szedł naprzód.

Dochodziła godzina dziewiąta, kiedy wchodził w ulicę Royale.

Aż do tej chwili nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Bruchon odebrał torbę z depeszami tak, jak zazwyczaj i udał się na ulicę Rousseau.

Koło godziny siódmej wóz pocztowy, przynoszący depesze z Marsylii, wjechał na obszerny podworzec. Woźni pocztowi wydobyli z niego worki i wynieśli na pierwsze piętro gmachu, gdzie urzędnicy zajęli się natychmiast segregowaniem papierów. Listonosze i woźni oczekiwali już na korytarzach i każdy z nich po pewnym czasie otrzymał swoją część przeznaczoną.

Bruchon umieścił swoją w torbie, zamknął na klucz i klucz ten pozostał w administracyi, poczem spokojnym krokiem opuścił gmach pocztowy.

Ociężałość, którą odczuwał po wyjściu z domu, opuściła go zupełnie, ale męczyło go teraz nieznośne pragnienie.

— Moja stara za silnie przyprawiła kapustę — myślał, idąc — czuję piekielny ogień na wnętrznościach. Gdybym tak poszedł na szklankę wina do kupca na rogu?

Ale prędko tę myśl nęcącą odrzucił od siebie. Podobna rzecz była w służbie ostro zabroniona i lękał się być podpatrzonym.

— Odniosę torbę, a potem pójdę. — pocieszył się — W ten sposób wszystko będzie w porządku.

Ale Bruchon nie liczył się z okolicznością, która mogła się nadarzyć i zniszczyć jego chwalebne postanowienie. Przedstawiła się ona w osobie mamy Bruchon.

Zaledwie wszedł w ulicę Coquilliere, kiedy posłyszał, że go wołano. Odwrócił się zdziwiony i poznał żonę. Szła ku niemu rozpromieniona, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Gdzie idziesz, Bruchon? — zapytała, biorąc go pod ramię.

— Wiesz przecież dobrze, dokąd idę. — odpowiedział.

— Gdybyś wiedział, co mi się przytrafiło!

— Co takiego?

— Mamy majątek w ręce.

— Cóż to za głupstwa!? — mruknął Bruchon, ze zdziwieniem patrząc na żonę.

— Żadne głupstwa, tylko prawda. — odparła z przekonaniem stara — Jutro o tej samej godzinie będziemy bogatymi ludźmi. Popatrz tylko!

Otworzyła ręczną torebkę, chcąc mu coś pokazać, ale rozmyśliła się widocznie, bo spojrzała podejrzliwie wokoło siebie i rzekła:

— Nie, nie tutaj! Trzeba być ostrożnym. Chodź.

— Gdzie?

— Do tego handlu.

— Wiesz, że to nie jest dozwolone. Jestem w służbie.

— Niedozwolone? Co z tego? Niechby ci tylko ośmielili się robić wyrzuty! Zobaczyłbyś, jak prędko rzuciłabym im w oczy twoją dymisyę! Zresztą to tylko na pięć minut. Nikt nie spostrzeże opóźnienia. Chcę ci opowiedzieć to wszystko, ale nie na ulicy, gdzie nas wszyscy podsłyszeć mogą.

— A jak nas zobaczą? — bronił się słabo Bruchon na myśl o dobrej szklance wina.

— Głupi jesteś. Kto cię ma zobaczyć? A czy inni tak nie robią może? No, chodź. Wejdziemy tylko i pokażę ci to, co mam przy sobie, a przy sposobności napijesz się czego. Ta kapusta, zdaje się, była za słona!

— Oh! To prawda!

— A widzisz. Chodź prędko i nie traćmy czasu na próżne rozmowy.

Pociągnęła go energicznie za ramię i w kilka sekund później siedzieli już obok siebie w małym pokoiku winiarni. Stara Bruchon kazała podać prędko butelkę wina, a kiedy pozostali sami, przysunęła się jeszcze bliżej męża i zapytała z uśmiechem:

— No chcesz widzieć teraz co tu mam w ręce?

— Pokaż! — odparł Bruchon, którego pierwsza szklanka rozbroiła już zupełnie.

— To tylko drobiazg. — rzekła, wysypując na stół kilkanaście sztuk złota — Jutro mieć będę dziesięć razy tyle.

— Ale skąd ty to masz? — zapytał Bruchon z nagłym błyskiem w oczach.

— To cała historya!

— Opowiedz mi prędko!

— Napij się wpierw, stary!

Bruchon nie dał się prosić. A kiedy kieliszki zostały wypróżnione, matka Bruchon napełniła je znowu.

— Widzisz, mój kochany — zaczęła — ja nie jestem głupsza od innych, a w naszym fachu trzeba mieć głowę i oczy otwarte. Poznałam młodą kobietę, która jest bardzo piękna i tak czarująca, że wzbudziła szaloną miłość w człowieku już podeszłego wieku.

— No i cóż z tego?

— A więc jest młoda, pełna nadziei na przyszłość, a stary ją już nudzić zaczyna. Ale napijmy się przedtem.

I znowu wypróżnili szklanki.

Ale tym razem Bruchon ujął ją dziwnie drżącą ręką, a oczy jego pokryły się nagle mgłą ciężką.

Wypił jednakże, ale w tej chwili coś anormalnego dziać się z nim zaczęło. Długie drżenie przebiegło jego ciało i grube krople potu wystąpiły mu na czoło. Konwulsyjnym ruchem pochwycił brzeg stołu, jak gdyby miał upaść.

— Cóż ci się stało? — zapytała stara Bruchon.

— Nic! To nic! — wyszeptał z trudem — Tylko coś mi oczy przysłoniło i w głowie mi się kręci. Muszę wyjść na powietrze, może to przejdzie.

Ale nie mógł się już wyprostować, nogi uginały się pod nim. Kilka razy odetchnął głęboko i oparł ciężko głowę na stole.

— Duszę się! Powietrza, ratuj mnie! — zakończył.

— Uspokój się, to przejdzie! — pocieszała go żona, przyjmując to wydarzenie zupełnie spokojnie.

— Gdzie moja torba?

— Jest tu, przy tobie!

— Zanieść ją muszę... mój Boże... co ja zrobiłem... co się ze mną dzieje...

— Ah! Nie zajmuj się teraz tą torbą! — zawołała matka Bruchon — Zaniesie się ją... ja sama....

Mówiąc to, uczyniła ruch, jak gdyby torbę ująć chciała, ale Bruchon mruknął ze złością i spojrzał na nią oczami, pełnemi wściekłości i przestrachu.

— Nie! Nie! Nie chcę! — zawołał — To rzecz święta. Nikt się tego nie dotknie, tylko ja!

Nie był w stanie już więcej powiedzieć, wysiłek ten wyczerpał resztę jego sił, usiłował raz jeszcze podnieść się, palce jego, zaciskające torbę kurczowo, rozwarły się i zwalił się całym ciężarem ciała na ławkę.

Pani Bruchon przeczekała kilka sekund, wzruszona i wylękniona tym widokiem. Spojrzenie jej zamglone biegło raz po raz od stołu do drzwi pokoju, w obawie, aby drzwi te nie roztworzyły się nagle i zdawało się, że obecnie radaby się cofnąć przed konsekwencyami czynu, dobrowolnie wywołanego.

Ale stan ten trwał krótko.

Prawie natychmiast potrząsnęła energicznie głową, powstała szybko z krzesła, zamknęła drzwi na klucz i powróciwszy do leżącego bez świadomości męża, podniosła go silnym ruchem i zabrała torbę z pod jego głowy.

Natychmiast, bez straty czasu, zabrała się do dzieła.

Otrzymanym od pułkownika Roberta kluczem otworzyła zamek i gorączkowo przetrząsnęła zawartość torby. Nareszcie na samem dnie, pomiędzy innymi papierami odkryła dużą kopertę zalakowaną, noszącą pieczęcie konsulatu francuskiego w Kalkucie.

Szybkim ruchem ukryła ją pod suknią, uporządkowała starannie papiery i teraz, pewna już, że nikt wiedzieć nie będzie o zuchwałym tym zamachu, otworzyła drzwi i głośno zawołała na właściciela winiarni.

Przybiegł natychmiast usłużny i uprzejmie uśmiechnięty.

Pani Bruchon ręką wskazała uśpionego na ławce męża.

— Biedny chłopak, wypił trochę za dużo — rzekła dobrodusznie — zdarza się mu to niekiedy, ale wystarczy, aby się dobrze przespał, aby odzyskał przytomność. Proszę więc pana, niech się on tu wyśpi spokojnie, a kiedy się obudzi i będzie chciał powrócić dorożką do domu, da mu pan te pięć franków, które tu zostawiam.

Właściciel winiarni skłonił się grzecznie.

— Niech pani będzie spokojna. Za godzinkę lub dwie wyekspedyuję go do domu.

Pani Bruchon uregulowała rachunek i wyszła na ulicę.

Ale sen biednego woźnego nie trwał długo. Po jakimś czasie otworzył oczy i w pierwszej chwili nie mógł się zoryentować, gdzie się znajduje. Ale, kiedy pomału pierwsze opary wina, obciążające jego mózg, rozwiały się, zerwał się przerażony. Natychmiast zdał sobie dokładnie sprawę z sytuacyi, w jakiej się znajdował i okrzyk wściekłości wybiegł z jego piersi.

Na krzyk ten wbiegł właściciel winiarni i ujrzał jak Bruchon z zaciśniętemi ustami i oczami, ciskającemi błyskawice gniewu, nerwowo oglądał swoją torbę i badał wytrzymałość zamku.

— Która godzina! — zapytał ostro — Proszę mi natychmiast powiedzieć, która jest godzina?

— Koło jedenastej. — odparł właściciel winiarni, niemile poruszony tym widokiem.

— A więc spałem!

— Zdaje się, ale to panu dobrze zrobiło.

— Jedenasta! — powtórzył rozpaczliwie Bruchon, przyciskając ręce do skroni.

Krokiem niepewnym postąpił ku drzwiom, lecz zachwiał się i musiał się oprzeć o ramę drzwi.

Właściciel winiarni poskoczył ku niemu i podtrzymał go.

— Jeżeli pan sobie życzy, sprowadzę powóz — zaproponował — pan jest jeszcze bardzo osłabiony.

Bruchon odepchnął go brutalnie.

— Proszę mnie zostawić. — odpowiedział — Nie potrzebuję żadnej pomocy. Jedenasta godzina! Jestem zgubiony! Mój Boże!

Przeciągnął rzemień torby przez ramię, żywo otworzył drzwi i wybiegł na ulicę.

Uczucie przykrej rzeczywistości ogarnęło go nagle, zaczął sobie wszystko przypominać, ale wkońcu pocieszył się myślą, że nie wszystko jeszcze stracone, torba była nietknięta, a to rzecz najgłówniejsza, pozatem z opóźnienia wytłumaczy się jakoś, a w najgorszym razie zostanie ukarany.

Bruchon szedł dalej, obijając się o ściany, potykając się, upadając nawet niekiedy, ale już

nie przerywając swojej drogi. Kiedy przybył do ministerstwa, ubranie miał całe podarte i powalane błotem.

Nie przypuszczał jednak, że rzecz była ważna, że torba jego była naruszona i że ten przypadek natychmiast spostrzeżony zostanie.

Kiedy po otworzeniu torby kluczykiem, który zawsze był ukryty w biurku samego naczelnika, skonstatowano brak koperty, zawierającej depeszę z Indyi, Bruchon zbladł nagle i bezwładny usunął się na ziemię. Wiadomość ta uderzyła w niego jak grom. Na znak dany przez naczelnika, służba wyniosła go na korytarz, gdzie oprzytomniał cokolwiek i zrozumiawszy cały ogrom odpowiedzialności, ciążącej na nim — wybuchnął rozpaczliwym płaczem i nie był w stanie dać żadnych bliższych wyjaśnień.

Na baronie d'Esclairs odkrycie kradzieży depesz uczyniło niemniejsze wrażenie. Twarz jego skurczyła się nerwowo a w oczach zamigotał przestrach i wściekłość bezsilna.

To, co się stało, nie mogło być dla niego bez znaczenia.

Po raz drugi zuchwały jakiś złodziej usuwał depesze, mające taką wagę dla niego, bo stwierdzające zgon milionera indyjskiego. Któż był ten człowiek, któremu tak zależało na zatarciu wszelkich śladów tej kolosalnej sukcesyi?

Tysiące przykrych i rozpaczliwych myśli opanowało barona. Nie zwracając uwagi na słowa pocieszenia naczelnika, który był również silnie zaciekawiony i zdumiony tym faktem, w stanie silnej depresyi i rozdrażnienia opuścił gmach ministerstwa, kierując się w stronę pól Elizejskich.

XIV.

Była już północ.

Zabawa dochodziła do kulminacyjnego punktu. Goście pułkownika Roberta, cokolwiek skrępowani w pierwszej chwili, oddawali się teraz z całą swobodą i wesołością rozmowie i urokom tego niezapomnianego wieczoru.

Wydarzenie szczególne i nieoczekiwane przez nikogo podnieciło jeszcze nastrój ogólny.

Około godziny jedenastej, kilka zamaskowanych osób pojawiło się, przedstawiając formalne zaproszenia, które wkońcu rozproszyły wahania służby, postawionej u wejścia, dla kontroli.

Kiedy też maski te ukazały się w salonie, wywołały sensację i ciekawość żywą. Otoczono je, wypytywano, wywołując odpowiedzi, pełne dowcipu i intelligencyi.

Osoby te były znane Olivii, ale wszelkie nalegania, aby odkryła ich nazwiska, okazały się bezskuteczne.

— Nie pytajcie o nie! — broniła się z uśmiechem. — Rozmyślnie zarezerwowałam wam tę niespodziankę i nie psujcie jej zbytnią ciekawością.

Olivia, tłumacząc się w ten sposób, miała ważny powód na myśli. Chciała sama o północy ukryć twarz pod maską i zamienić strojną suknię na obszerne domino, mając nadzieję, że dzięki obecności innych masek i przebraniu, jej chwilowa nieobecność, do której się gotowała, przejdzie niepostrzeżenie.

W jakim zaś celu wykorzystać chciała tę chwilę swobody, to było już jej tajemnicą.

Publiczność nie oprzytomniała jeszcze z wrażenia, wywołanego ukazaniem się tajemniczych masek, kiedy hałas jakiś wszczął się u wejścia, w dolnych pokojach willi. Każdy biegł dowiedzieć się, co się stało. Tym razem nie były to maski, ale czarnoksiężnik w fantastyczny strój przybrany.

Wszedł na salę z wielką powagą i natychmiast został otoczony grupą ciekawych.

Miał na sobie długą szatę czarną, pokrytą błyszczącemi gwiazdami, szpiczastą, kartonową czapkę, przybraną magicznymi znakami, w ręce trzymał długą laskę hebanową o szpiczastym końcu.

Był średniego wzrostu, szeroki w ramionach, a ręka jego obciśnięta czarną rękawiczką, wskazywała siłę i sprężystość niezwykłą.

W pierwszej zaraz chwili chciał się przecisnąć przez tłum otaczający go, ale bezskutecznie. Ciśnięto się do niego, chcąc zmusić do mówienia, ale czarodziej milczał uporczywie, wodząc tylko dokoła bystrem spojrzeniem.

— Zdaje się, że on jest niemy! — zawołała jedna z pań, wzruszając ramionami.

— Powiedz lepiej, moja kochana, że niema nic ciekawego do powiedzenia, dlatego milczy! — zaśmiała się druga.

— No! Dalej — zawołała Flora, wysoka, tęga blondynka, przyjaciółka Olivii. — Czemże cię można nakłonić do rozmowy, szanowny czarodzieju. Może ci rękę moją pokazać? Prawą, czy lewą?

Czarodziej skłonił się przed młodą kobietą.

— Nie potrzebujesz mi pokazywać ani jednej, ani drugiej ręki — odezwał się poważnym głosem. — Bo i bez tego wiem, co robiłaś wczoraj i co zamierzasz uczynić jutro.

— Ho! Ho! Jaki mądry! Jeżeli przyszedłeś tylko po to, ażeby to powiedzieć, mogłeś spokojnie pozostać w domu.

— Szukam kogoś! — rzekł czarodziej.

— Kogóż to?

— Mężczyzny.

— Nie brak ich tutaj, jak widzisz. Ale, naprawdę, ty wcale nie jesteś zabawny.

Podczas tej szybkiej rozmowy, pułkownik Robert przybliżył się zaciekawiony i wmieszał się w tłum, otaczający czarodzieja.

— Pani ma słusznie — odezwał się nagle. — Przebranie jakie nosisz obowiązuje cię do większej mądrości i dowcipu, a widzę, że nie wywiązujesz się ze swojej roli całkiem dobrze. No, powiedz nam, co wiesz, a jeżeli umysł twój wysuszony, to staraj się coś wymyślić. Intrygujesz nas tylko, a nie chcesz zabawić.

Słowa pułkownika zostały przyjęte żywymi oklaskami i może czarodziej po tak kategorycznem zainterpelowaniu byłby się zdecydował przemówić, kiedy tłum rozstąpił się nagle, by dać przejść osobistości nowej.

Był to drugi czarodziej. Powitano go szalonymi okrzykami i śmiechem, na co odpowiedział protekcyonalnem skinieniem ręki.

— Dobrze, dobrze, moje dzieci, dziękuję wam! — wyrzekł niedbale. — Byłem tu, słyszałem wszystko i zostałem przejęty litością nad moim kolegą. Dla uratowania honoru naszego stowarzyszenia, ja wam odpowiem, jeżeli sobie tego życzycie.

Kilkanaście rąk wyciągnęło się ku niemu.

Ujął jednę z nich i spojrzał uważnie na jej właścicielkę.

Była nią Flora, przyjaciółka Olivii.

— Co chcesz wiedzieć — zapytał, zmieniając głos, który nagle stał się ostry i poważny. — Strzeż się, wiem wszystko. Znana mi jest przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, więc może nie będzie ci przyjemnie odkrywać twoje życie publicznie!

— Mów! Mów! — zawołano ze wszystkich stron z gorączkową ciekawością.

Nowy czarodziej dłuższy czas obserwował rękę Flory, wkońcu podniósł głowę i wyrzekł:

— Masz dwadzieścia dwa lat, urodziłaś się w lasach górskich, ojciec twój był węglarzem, a matka roznosicielką chleba. Żyłaś w biedzie i latałaś boso latem i zimą. Ale jednego dnia, przeglądając się w kawałku lusterka, spostrzegłaś, że jesteś ładną i uciekłaś z domu rodziców. Odtąd powiodło ci się dosyć w życiu, ale, ponieważ mam bardzo dobrą pamięć, wolę zamilczeć o szczegółach. Zdaje mi się, że jesteś tego samego zdania?...

Flora już wyciągnęła rękę, zmieszana i zaniepokojona, a czarodziej ujął dłoń młodej artystki z Folies — Bergeres.

— Co do ciebie, to będzie pewna zmiana — rzekł. — Chcesz, bym powiedział coś o twojej przeszłości?

— Po co... — zaśmiała się młoda kobieta. — Czy jej lepiej nie znam od ciebie.

— Urodziłaś się pod główką kapusty u pewnego handlarza jarzyn w Belleville.

— Nie przypominam sobie tego.

— Matka twoja zaraz po twojem urodzeniu znikła, nie mówiąc, czy powróci kiedykolwiek i pozostałaś w rękach uczciwych ludzi, którzy cię wychować chcieli w ten sposób, abyś została kiedyś nagrodzona za cnotę... Otóż, tej misyi podjął się chętnie pewien staruszek z Batignolles, czy nie tak?

Młoda artystka śmiała się do rozpuku, wodząc rozbawionemi oczami po obecnych.

— Prawda, prawda! Jesteś niezwykłym czarodziejem, ale już dosyć! Nie chcę wiedzieć, co mnie czeka w przyszłości... Są tu jeszcze inne, które pragną cię usłyszeć.

I kolejno czarodziej ujmował dłonie młodych kobiet, mówiąc z taką prawdą i szczerością o ich życiu i zamiarach na przyszłość, że coraz większe zdumienie ogarniało gości pułkownika Roberta, uszczęśliwionych tą niezwykłą i senzacyjną rozrywką.

Czarodziej z miną niedbałą przyjmował oznaki podziwu i zainteresowania, nie przerywając swojej tajemniczej czynności, kiedy uczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

Odwrócił się i spostrzegł pułkownika.

— Czy zamierzasz już opuścić nas? — zapytał, starając się po przez maskę rozpoznać jego rysy.

— Zapewne. Nie mam już nic więcej tu do czynienia — odparł czarodziej. — Udam się gdzieindziej.

— Dokąd?

— Czyż ci na tem zależy? Lub może, jako gospodarz tego domu, chciałbyś ograniczyć swobodę swoich gości?

— Nie myślę o tem.

— Tem lepiej.

— Wszedłeś tu zamaskowany i wyjdziesz w ten sam sposób, kiedy ci się spodoba. Zadam ci tylko jedno pytanie.

— Oh! Cóż takiego? Czy chciałbyś również, abym ci opowiedział przeszłość twoją?

— Co znowu! Moja przeszłość nie jest tak łatwą do poznania, jak ci się zdaje... Trudziłbyś się tylko daremnie i nie wyrzekł nic prawdziwego.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewny! — odparł pułkownik Robert z lekkiem rozdrażnieniem.

— Mógłbyś się pomylić...

Brwi pułkownika ściągnęły się.

— Nie nalegaj — rzekł zimno — i mówmy o czemś weselszem. Zresztą to nie chodzi o mnie.

— A o kogóż więc?

— Oczekujemy pewnej osoby obecnie i znajdujemy, że nieobecność jej przedłuża się bardzo.

— Mówisz o baronie Bonnet d'Esclairs? — zapytał czarodziej, patrząc w twarz pułkownika.

— Tak jest.

— Zapomniałeś widocznie, że znajduje się teraz w ministerstwie marynarki, gdzie oczekuje na przybycie depesz z Indyi.

— Wiesz o tem? — zawołał pułkownik Robert, nie mogąc ukryć zdumienia.

— Naturalnie! I jeżeli chcesz, mogę ci powiedzieć, że ten biedny baron niepotrzebnie tam czas traci, bo jestem przekonany, że czeka go zawód głęboki.

— Któż cię tak dobrze powiadomił o tych faktach?

— Wiedza moja. — odpowiedział czarodziej z nieprzeniknionym uśmiechem.

— Jak widzę — odparł pułkownik z rozdrażnieniem — to pobijasz mnie i wypełniasz znakomicie swoją rolę. Nie chcę dłużej pozbawiać moich gości twojej cennej obecności i zwracam ci już wolność. Ale mam nadzieję, że pozostaniesz tu jeszcze i będę miał przyjemność ujrzenia cię przy kolacyi.

— Nie omieszkam skorzystać z zaproszenia, panie pułkowniku. — odpowiedział czarodziej, uśmiechając się swobodnie — Ale, jeżeli mnie nie ujrzysz więcej, to wiedz, że dałem się uprowadzić jednej z tych pań, które znajdują się w twoim salonie.

I przy tych słowach zręcznym ruchem przecisnął się przez rozbawione tłumy i zniknął wkrótce w jednej z sal bocznych.

Pułkownik chwilę śledził spojrzeniem oddalającego się czarodzieja, zaintrygowany w najwyższym stopniu, ale wkrótce odzyskał swój dobry humor i udał się w poszukiwanie za Olivią, którą stracił z oczu od pewnego czasu.

Ale napróżno przebiegł całą willę od góry do dołu, nigdzie jej odnaleźć nie był w stanie.

— Cóż się z nią stać mogło? — myślał zaniepokojony — Przecież nie wyszła stąd teraz i nie opuściła moich gości.

Ale już i druga myśl niepokoić go zaczęła. Była już północ, a baron d'Esclairs nie pokazał się jeszcze.

— Cóż tam się dziać mogło w ministeryum marynarki? Czy oczekiwano jeszcze ciągle na depeszę? Czy zamiar starej Bruchon uplanowany z nim razem, doszedł do skutku?

Szedł zamyślony przez jeden z salonów, kiedy zadrżał nagle i cofnął się, nie wierząc własnym oczom.

Zdawało mu się, że w głębi, przy drzwiach, prowadzących do innych pokojów, dostrzegł Jerzego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Odezwa komitetu Kościuszkowskiego.

Lwowski komitet Kościuszkowski, którego prezydyum honorowe, wybrane na zebraniu obywatelskiem w sali ratuszowej dnia 17 lipca b. r., tworzą: ks. arcybiskupi dr Józef Bilczewski i Józef Teodorowicz, marszałek krajowy Stanisław Niezabitowski, historycy polscy: dr Oswald Balzer, dr Wojciech Kętrzyński, dr Ludwik Kubala i dr Tadeusz Wojciechowski, reprezentanci szlachty, mieszczaństwa i ludu: Witold ks. Czartoryski, Stanisław Niemczynowski i Jakób Bojko, a prezydyum komitetu wykonawczego: Wojciech Biechoński, dr Ernest Adam, dr Ludwik Beck, Helena Czapelska, dr Ksawery Fiszer, Walenty Halski i Zygmunt Terlecki — wydał obecnie odezwę tej treści:

Wspomnienie cnót, czynów, zasług, skarbem jest narodowym. Uznanie i cześć przednich mężów, to nie tylko obowiązek, lecz potrzeba społeczeństw, to warunek sił i trwania. Oni bowiem są jako życia pochodnie, przez pokolenia sobie podawane.

A któż zaś winien być bardziej uczczony, jeśli nie Ten wielki Wódz duchowy i sługa Narodu zarazem, wolności szermierz i własną krwią obrońca, tyranów pogromca, nieustraszony wojownik, o głowie i piersiach, okrytych bliznami, „powierzony sobie sakrament od skaz i zatraty wiernie ratujący“, uciśnionych ojciec, Uniwersału połanieckiego twórca, na obu półkulach świata równie głośny, „najuczciwszy Polak“, przyrównywany do Leonidasów, Cyncynatów i Tymoleonów; Ten, który, gdy ginął już Naród, „uczynił Polskę wichrom północnym do złamania trudniejszą“, a nigdy w żadne z nią nie wchodził targi, Jej bez podziału całą istność swą oddawał, daleki zawsze od spraw osobistych, lub partyjnych, potężny duchem, a korny, skromny, cichy i karny, jak mało kto drugi, Najwyższy Naczelnik w sukmanie — Kościuszko!

To jedno imię: Kościuszko — mówi do Polaka tyle, że każde inne przy niem słowo niemal zbyteczne. Wszak ono stało się u nas drogowskazem, jakby palladyum, świętością. Czegóż nam nie uprzytomni, czegóż nie dokaże, jakich cudów dziwnych nie bywa sprawcą? Ono od zapadłej miecznikowicza brzeskiego wsi litewskiej wiedzie nas wskroś wszystkich ziem, po dziewicze lasy i puszcze Ameryki, a potem pod Dubienkę, na Rynek krakowski, do zwycięskich wzgórz Racławic, okopów Warszawy, w tragiczne pola Maciejowic, do petropawłowskich kazamat, na pokoje cezarów i dyplomatów Paryża i Wiednia, aż ku wygnańczemu asylum Solury, skąd już po półwiekowym, najszlachetniejszym dla Ojczyzny trudzie, wróci martwa powłoka Bohatera w podziemia Wawelu, do stóp niebosiężnej, przez naród dźwigniętej mogiły. To imię, wciąż żywe i czywcze, pokarmem jest i kordyałem, przynagla uderzenia serca, porusza górnie i zapładnia umysł, do męstwa zagrzewa, walk, poświęceń, ofiar — ono nierozdzielne z porozbiorowem Polski istnieniem, z jej cierpieniami i radością, z nieprzepartą wreszcie niczem wiarą naszą w pewną, jasną przyszłość. Kościuszko! — niech będzie promienne imię Twe błogosławione!

W zawrotnym wirze wojny światów nie przepomniano setnej rocznicy zgonu Kościuszki. Zbliża się zaś 15 ty października szybkim do nas krokiem. Powinnością jest tedy Polaków, dzień ten w święto zmienić narodowe, zanim w wolnej, całej już Ojczyźnie nie zabrzmi tryumfalnie Zygmunt na chwałę Naczelnika.

Zawiązany w tym właśnie odłamie Rzeczypospolitej komitet obywatelski wzywa więc niniejszem rodaków do obchodu, tak w stolicy, jak i w miastach, miasteczkach, siołach, wszędzie, gdzie żyje myśl polska, gdzie wznosi się kościół, szkoła, gdzie bodaj jedna rodzina czuje naszem czuciem i mowy doniosłość, cel pobudki. We Lwowie, w starych murach „pomnożyciela polskości“ odbędzie się główna uroczystość, której porządek ogłosimy niebawem. Lecz teraz już możemy służyć wszystkim, zewsząd do nas bieżącym, wskazaniami, radą i pomocą, byle tylko Dzień Kościuszkowski odpowiedział godnie pragnieniom milionów, zatwierdził w pełni naszą bezmierną cześć i miłość, łącznym był hołdem narodowym, zwłaszcza zaś dziesiaj, przy odmianie losu, u świtu ery wybawienia.

Powiadają współcześni, że Kościuszko, na krótko przed śmiercią, wieczorną godziną „wygłaszał przepowiednie o przyszłości swej ojczyzny“. Nie zdołali wszakże powtórzyć ich obcy słuchacze. O, jeśli za łaską Bożą, zwidywała się wtedy gasnącym jego oczom Polska, to pewno: zjednoczona, niepodległa, ta, za którą jedynie, nad Nim władną, „zginąć chciał sto razy“, którą w znoju i męczeńskim bólu żył wszystek, a o której pisał, mawiał i ślubował następującemi słowy:

...Pierwszy krok do zrzucenia niewoli, jest odważyć się być wolnym; pierwszy krok do zwycięstwa — poznać się na własnej sile.

...Obym raczej był zapomniany, a Ojczyzna moja została wolną.

...O mnie nie trzeba myśleć. Ja skończę z Ojczyzną. Gdy będzie szczęśliwą, i ja z nią będę — nie, to i życie moje jest niepotrzebne.

...Władzy na niczyj ucisk nie użyję, lecz jedynie dla obrony całości, granic, odzyskania samowładztwa Narodu i ku ugruntowaniu powszechnej swobody.

...Gdy podli będziemy, chciwi, interesowani, nie dbający o kraj swój, słusznie, abyśmy potem mieli kajdany na szyjach — od nas samych zależy poprawa rządów, od obyczajów naszych.

...Potrzeba miłość kraju zbudzić w tych, którzy dotąd nie wiedzieli nawet, że mają Ojczyznę.

...Niech powszechna będzie edukacya.

...Nie masz żadnego narodu, skłonniejszego do czynienia dobrze każdemu, jak Naród polski, kiedy tylko sam swoją wolę czynić może.

...Ten to jest czas, w którym, chociaż z różnicą opinii, powinien być zjednoczony cel uszczęśliwienia Ojczyzny, przyprowadzenia jej do znaczenia w Europie, rządu wewnętrznie dobrego.

..Polski zawsze jest nieśmiertelna!

Generalissimus rosyjski o ułanach Mościckiego.

Bohaterska szarża ułanów polskich pod Stanisławowem znalazła zupełne uznanie i wyrazy podziwu u generałów niemieckich. Ten sam szacunek wywołało bohaterstwo żołnierzy polskich także po stronie rosyjskiej. Oto, co donoszą pisma codzienne:

Korespondent gazety moskiewskiej „Russkoje Słowo“ nadesłał z rosyjskiej armii czynnej szczegóły bohaterskich czynów pułku ułanów dywizyi Strzelców Polskich.

„Dawna sława pułków polskich — pisze korespondent — wskrzeszona została na smutnych polach hańby i upadku przez pułk ułanów polskich.

W czasie walki pod Krechowcami jedna z dywizyi rosyjskich wraz z dywizyonem automobilów opancerzonych była otoczona przez Niemców. Ułani polscy wraz z ich walecznym pułkownikiem Mościckim otrzymali rozkaz ratowania sytuacyi. Ułani sześciokrotnie atakowali konno piechotę z frontu, z boku i wreszcie z tyłu. Niemcy nie wytrzymali i cofnęli się — a wojska rosyjskie pomyślnie odeszły“.

Generał Korniłow posłał 11 lipca do pułku telegram następujący:

„Dziękuję z całej duszy dowódcy świetnych ułanów polskich, bohaterom oficerom i ułanom za ich pierwszy czyn bojowy pod Krechowcami. Przez czyn ten wskrzesili oni sławę bojową swoich pradziadów i zyskali prawo zajęcia honorowego miejsca w szeregach świetnej kawaleryi armii bratniej. Wspominając szalony atak ułanów polskich pod Samo-Sierrą, jestem przeświadczony, iż krew dziadów płynie w żyłach ich wnuków i że ta krew jest gwarancyą i zabezpieczeniem wolności odradzającej się Polski, przyszłej wolności i samookreślenia narodów.

Na każdy szwadron wyznaczam po dziesięć krzyżów św. Jerzego“.

Wojsko polskie w Rosyi.

Dnia 7 b. m. przejeżdżał przez Lublin pociąg z jeńcami, wśród których było wielu żołnierzy z formacyi polskich w armii rosyjskiej. Na podstawie informacyi, zaczerpniętych od tych żołnierzy, podaje „Ziemia lubelska“ następujące szczegóły:

„Przed wybuchem rewolucyi ochotnicze wojsko polskie składało się zaledwie z dwóch szwadronów ułanów. Po rewolucyi przystąpiono do formowania trzeciego i czwartego szwadronu, które wraz z poprzednim tworzą pierwszy pułk ułanów polskich w sile ogółem 600 koni. Przed rewolucyą nie było, gdyż „drużyny ochotnicze“ Gorczyńskiego znikły z biegiem czasu i ich resztki zostały wcielone do rosyjskich pułków. Obecnie z Polaków, powybieranych przeważnie z pułków gwardyi, utworzono polską dywizyę strzelców. Liczy ona 4 pułki, każdy po 4000 ludzi. Prócz tego rozmaite „uzupełnienia“ liczą około 10.000 ludzi, razem więc siła zbrojna polska w armii rosyjskiej wynosi około 26 000 żołnierza. Pozatem niema osobnych formacyi polskich w armii rosyjskiej. Artyleryi własnej Polacy nie posiadają.

Ułani mają mundury takie, jakie nosili ułani Gorczyńskiego, t. j. tylko epoletami amarantowemi, kolorem czapek i chwostami odróżniające się od rosyjskich. Piechota natomiast posiada wybitnie polski ubiór, do którego wzór zaczerpnięto z wojska powstańczego. Mundur jest bronzowy z amarantowemi obszywkami, przykryciem głowy zaś jest maciejówka granatowa z amarantowym pasem i metalowym orzełkiem polskim pośrodku. Orzełek ów posiada literę S i nie różni się wiele od orzełka, używanego w Legionach. Umundurowanie strzelców dywizyi polskiej, zbyt barwne, jest może nie tak w stylu wojennym, jak Legionów, lecz więcej ma cech, uwydatniających polskość żołnierza.

Żołnierze polscy są to ludzie, liczący 30—35 lat“.

Zwinięcie sądów w Legionach.

Z Warszawy donoszą do „Dziennika Narodowego“:

Rozkazem generał gubernatora Beselera zwinięty został sąd komendy Legionów w Warszawie i sąd polowy Legionów w Dęblinie. Oficerowie dla służby sędziowskiej, którzy dotychczas w sądach tych urzędowali, zostali zwolnieni z Legionów i przydzieleni do sądu wojskowego komendy powiatowej w Piotrkowie.

W myśl odnośnych zarządzeń ma być obecnie każdy Legionista, o ile jest obywatelem austryackim, skoro skierowane jest przeciw niemu uzasadnione podejrzenie o przestępstwo, które przez sąd ma być ścigane, bezzwłocznie z Legionu zwolniony i oddany sądowi wojskowemu w Piotrkowie w celu osądzenia. Bez względu na wynik sprawy zatem, nawet na wypadek wstrzymania dochodzeń, lub wyroku uwalniającego, powrót do Legionu ma zamknięty.

Równocześnie z ustanowieniem Komendy Legionów powstał sąd polowy Legionów, jako jednostka organizacyjna. W skład sądu wchodzili podówczas: major Zbyszewski i porucznik dr. Daniec. Gdy z wiosną 1915 roku komenda Legionów przeniesioną została do Królestwa Polskiego dla tworzenia III brygady, zreorganizowano sądownictwo i zwiększono ilość sędziów. Dla II. brygady powstał sąd, w skład którego wchodzili: kapitan Dunikowski, porucznik dr. Daniec i porucznik dr. Sikorski, dla I. i III. brygady drugi sąd polowy, w skład którego weszli: podpułkownik Krzyżanowski, kapitan dr. Dwernicki i porucznik dr. Krzemiński. Z przeniesieniem II. brygady na Wołyń, po zjednoczeniu wszystkich oddziałów w jesieni 1915 roku, sąd polowy komendy Legionów objął jurysdykcyę nad wszystkiemi formacyami, stojącemi w polu, natomiast dawny sąd II. brygady został przeniesiony do Kozienic, następnie do Dęblina, jako sąd komendy grupy, obejmując jurysdykcyę nad oddziałami poza frontem, a więc: stacye zborne, szpitale, posterunki werbunkowe i t. d. przy równoczesnem przejściu kapitana dra Dwernickiego do tegoż sądu, porucznika dra Dańca do sądu polowego komendy Legionów, dokąd wkrótce potem przydzielony został porucznik dr. Stein.

Na wiosnę 1917 roku objął kierownictwo sądu komendy Legionów kapitan dr. Ganczarski, kapitan dr. Dwernicki został powołany do Krakowa na stanowisko dyrektora miejskiego Banku wojennego.

Oba sądy funkcyonowały do 6. lipca 1917 roku, sprawując jurysdykcyę i przygotowując Legionistów, posiadających pełne kwalifikacye, do objęcia funkcyj sędziów wojskowych, dywizyjnych i pułkowych w wojsku polskiem, oraz pracując nad kodyfikacyą ustaw karnych wojskowych.

Z dniem 8. bieżącego miesiąca czynności zamknięto, poczem wszyscy sędziowie, z wyjątkiem majora Ganczarskiego, który pozostał jako referent przy komendzie Legionów, odeszli na nowe stanowiska służbowe.

Szczery żal przełożonych i kolegów towarzyszył odchodzącym, którzy w czasie swej służby potrafili pozyskać sobie ogólne zaufanie i szacunek.

Kronika tygodniowa.

Zanim przejdę do właściwej treści, muszę przedewszystkiem odpowiedzieć na rzekomo dowcipny list pewnego pana, kryjącego się skromnie ze swem nazwiskiem, niczem fiołek w trawie. Ale, jak rozmaite fiołki rozmaicie pachną, tak też anonimowe listy bywają czasem dowcipne, ale częściej nie, i do tej kategoryi właśnie wspomniany zaliczam. Kronikarzowi nie zepsuje krwi, gdy ktoś doń strzela z poza płotu i bynajmniej nie myśli go tam szukać, wiadomo bowiem, co tam czasem można znaleźć!...

Ponadto, imieniem Administracyi *Nowości illustrowanych*, pozwolę sobie zwrócić „obywatelowi wielkiego Krakowa" skromną uwagę, iż listy należy opłacać, by odbiorcy nie narażać na niepotrzebne wydatki. Nie dość, iż trzeba głupstwa czytać i z grzeczności potem na nie odpowiadać, by przecież bodaj taką frajdę sprawić autorowi, musi się za to płacić jeszcze podwójne porto. A tego już chyba zadużo! O ile więc ów jegomość ma zamiar dalej „nawiązywać ze mną atramentowe nici na trzycentowym papierze", niech nie zapomina także o przylepieniu na kopercie piętnastohalerzowej marki, a wszystko będzie w porządku.

Jeżeli się zaś rozchodzi P. T. Czytelnikom o to, co poruszył autor w liście do mnie pisanym, to powiem tylko tyle, iż ciekawy był, kto jest ową Weroniką, o której często piszę i, jak sam się wyraził, „dokonuję na niej wiwisekcyi, za co już dawno powinna była rozbić mi łeb jakim czerepem..." Z tego ostatniego zwrotu wnoszę, iż list pochodzi z Krakowa, co zresztą stwierdza i stampilia pocztowa i to prawdopodobnie z któregoś jego przedmieścia, gdyż tam załatwia się zazwyczaj w ten sposób małżeńskie nieporozumienia.

Drugi list, mający już ścisły związek z treścią poprzedniej kroniki, pochodzi z Tarnowa i także od jakiegoś anonima, kryjącego się pod podpisem „Prawdzic". Ja pisałem przeważnie o aprowizacyi i „Prawdzic" jej cały list poświęca, zastanawiając się nad tem, czy nie należałoby postarać się na te ciężkie czasy również o wojenne żołądki, a te stare zarekwirować na lepsze chwile. Wydatek byłby stosunkowo niewielki, a operacya z pewnością mniej może bolesna, jak trawienie różnych nie dających się strawić surogatów. Przeklinają je wszystkie ślepe i nie ślepe kiszki, które czegoś podobnego nie widziały i teraz dopiero czują, co to znaczy wojna...

Z „Prawdzicem" się zgadzam, list jego oddałem referentowi aprowizacyjnemu do dalszego urzędowego załatwienia i przedstawienia projektu, gdzie należy, nie jest więc wykluczonem, iż z czasem będziemy się musieli postarać o „wojenne żołądki". Autor projektu nie podaje jednak, z jakiego miałyby być sporządzone materyału. Musiałby on być pierwszorzędnej jakości, by mógł podołać pracy, jaka go czeka, dajmy na to, przy trawieniu obecnego chleba...

Ponieważ w poprzedniej kronice zajmowałem się przeważnie aprowizacyą, w tej uwzględnić muszę przedewszystkiem politykę i snuć wnioski, czy wojna się skończy rychło, czy nie. Niestety, muszę przyznać, że straciłem już nadzieję, byśmy jej końca przed zimą się doczekali,

Spotkałem onegdaj takiego popisowego wracał właśnie z magistratu, gdzie się ledwie wyspinał na trzecie piętro, by się dowiedzieć, że... zaszła przykra pomyłka.

Dyskutowałem o tem z jednym z urzędników magistratu. Gdym mu sprawę wyłożył, jak na dłoni, odparł:

— Mój panie kochany! To się zdarza!.. Pomyłka jest rzeczą ludzką! Zresztą nawet koń, choć ma cztery nogi, czasem się potknie!

— Racya! — ja mu na to — Zgadzam się z panem kochanym w zupełności, zaznaczyć przecież muszę, iż takie pomyłki nie powinny mieć miejsca. Żaden urząd na świecie nie rozporządza tylu biurowemi siłami, co krakowski magistrat, wszystko więc powinno tam iść, jak w zegarku.

— I tak też idzie!... Ale niema reguły bez wyjątku. A pan czepia się tylko wyjątków!

— Bo daty mi się we znaki jeszcze w gimnazyum!... *Panis, piscis*... huczy mi w uszach do dnia dzisiejszego!

— Powinno się przecież być wyrozumiałym!... Jest reguła, że magistrat wypełnia wzorowo swe zadania, od czasu do czasu mogą i muszą być wyjątki! Ot, a cóż powiedziałbyś pan na to, gdyby, dajmy na to, wezwano do odbycia powinności wojskowej nieboszczyka?

— Nic!... W tym względzie jesteście panowie mistrzami i macie praktykę jeszcze z czasu wyborów... To tylko bieda, że nieboszczyk może głosować, ale bić się nie może!...

Widocznie go przekonałem, gdyż pożegnał się i odszedł, nic więcej nie mówiąc.

Drugim dowodem na poparcie mego twierdzenia, to zbrojenie się Ameryki na łeb i szyję. Niedawno czytaliśmy o losowaniu werbunkowem siedmiuset tysięcy żołnierzy, mających wziąć udział w walkach na europejskim teatrze wojny, obecnie dowiadujemy się, że minister marynarki, Daniels, zarządził budowę fabryki aeroplenów, mającej produkować rocznie ponad dwa tysiące statków powietrznych. Budowa tej fabryki ma być ukończoną w stu dniach.

Kuryerek, donosząc o tem, zamieszcza wzmiankę w rubryce „Zamiast wężów morskich", ja przecież, znając pospiech amerykański, nie wątpię bynajmniej, że, jeżeli pan Daniels tak postanowił, a pan Wilson to zatwierdził, to tak być musi.

Opowiadał mi pewien rodowity Amerykanin, bawiąc przypadkiem przed kilku laty w Krakowie, jak tam prędko potrafią wszystko załatwiać. Jako przykład, podał, iż we Filadelfii jednego dnia rano zaczęto budować browar, roboty ukończono popołudniu, zaraz zaczęto warzyć piwo i tego samego jeszcze dnia, przed wieczorem, z piwiarni przy tym browarze wyrzucono za drzwi gościa, który się tam upił.

Pospiech iście amerykański, ale ja znam i Krakowiaków, którzy wczoraj jeszcze nic nie mieli, prócz długów, a dziś na różnych spekulacyach dorobili się tysięcy. Ale oni wychodzili z zasady, że w dzisiejszych ciężkich czasach trzeba być skończonym łotrem, by w *uczciwy* sposób módz dojść do majątku.

Wpływ na akcyę wojenną będzie mieć też i wykopanie tunelu pod kanałem między Anglią a Francyą, o czem również czytamy w tej samej rubryce, w której była wzmianka o amerykańskiej fabryce samolotów.

Wynalazek naturalnie także amerykański, bo inaczej być nie może.

Rządowi angielskiemu zwrócono mianowicie uwagę na wynalezienie maszyny, która potrafi tunel pod kanałem między Anglią a Francyą wykopać w ciagu trzydziestu pięciu dni. Wynalazca maszyny, inżynier John Heucken, oświadczył, że otrzymał już zamówienie na wykopanie czterech tuneli, która to praca przez pokłady ziemi i skał ma się odbywać z szybkością stu stóp na godzinę...

Tak pracować potrafią tylko Amerykanie, ale tak blagować tylko oni umieją.

Przypuśćmy jednak, że to wszystko prawda, wnosić należałoby więc z tego, iż Opatrzność jakoś łaskawiej spoglądać zaczyna na koalicyę, wobec czego wojna musi dłużej potrwać, by armie jej mogły zebrać laury, których dotąd napróżno szukały.

Choć przyznać trzeba, że Anglicy nie są zbyt wymagający i zadowalniają się byle czem. Dyktator angielski, pan Lloyd George, omawiając ostatnią ofenzywę na zachodnim froncie, która przyniosła Anglikom trzy kilometry zysku na terenie koło Ypres, powiedział wyraźnie:

— Feldmarszałek Haig osiągnął swój cel pod każdym względem i jest zupełnie zadowolniony, jak również ja. Byle tak dalej, a zwycięstwo będzie nasze!...

Entuzyazm słuchaczów doszedł do punktu kulminacyjnego, ale zapomniano im powiedzieć, ile to Anglię kosztowały owe trzy kilometry i że jeszcze kilku potrzeba takich „zwycięstw", aby armia angielska poszła w niwecz.

Lloyd George mówi: „Byle tak dalej!..." Jeśli tak będzie w samej rzeczy, a owocem długiej ofenzywy ma być aż... trzy kilometry zysku, to należy przypuścić, że wojna obecna, by doprowadzić do ostatecznego skutku (naturalnie w zrozumieniu angielskiem!...) musiałaby potrwać jeszcze przynajmniej ze trzydzieści lat.

Bardziej zachłannemi i nie przestającemi tak na małem, jak koalicya, a zwłaszcza Anglia, są mocarstwa centralne, nie dość bowiem, że wypędziły Moskala prawie zupełnie z Galicyi, biorą nadto w kleszcze armię rumuńską, obiecując przy najbliższej sposobności iść jeszcze dalej. Kolega Lloyda George'a, dyktator rosyjski, Kiereński, objeżdża wprawdzie front i zagrzewa wojsko, ale więcej do politykowania, niż do walki, czemu dał wyraz jenerał Korniłow w swym liście do rządu tymczasowego, brzmiącym daleko żałośniej, niż treny Jeremiaszowe. Następstwo tego rozpolitykowania aż zanadto widoczne, Moskale albo wiecują, albo uciekają...

Dla rozmaitości zapowiedziano nową ofenzywę na włoskim froncie, naturalnie ze strony koalicyi. Będzie to, o ile mnie pamięć nie myli, jedenasta bitwa nad Soczą, a ma ją uświetnić swoją obecnością pan prezydent Poincaré, o ile go naturalnie przepuszczą Francuzi przez granicę, którą tak szczelnie zamknęli od strony reszty Europy, że zupełnie nie wiemy, co się tam dzieje. Dobrze w każdym razie nie, z pewnością nawet gorzej, niż u nas, stracono bowiem wiarę w najważniejszego sojusznika, to jest Rosyę, która miała zalać całą Europę swym żołdactwem, zdobyć za jednym zamachem Wiedeń i Berlin, a tymczasem robi teraz ofenzywę w kierunku na Ural. Car Mikołaj, mając chyba dość czasu na rozmyślania, żałuje pewnie swej porywczości, ale tem się jeszcze pociesza, że cały ten interes kosztował go tylko ...koronę, gdy tymczasem jego poprzednicy na podobnych przedsiębiorstwach daleko gorzej wychodzili, tracąc koronę często razem z głową...

Jestem najpewniejszy, że wielu z głównych „operatorów" w obecnie toczącej się wojnie dałoby dużo, by jej wogóle nigdy nie było i dziś powtarzają sobie z goryczą: „Mądry Polak po szkodzie!..." To przysłowie przetłumaczono już na wszystkie języki koalicyi.

Obecnie w sprawie pokoju zabrał głos papież Benedykt i rozesłał notę do wszystkich mocarstw wojujących i neutralnych. Oby ona odniosła pożądany skutek!.. Treści jej na razie nie znamy, wedle przecież doniesień pism włoskich, jako główne warunki pokojowe stawia na pierwszem miejscu zrzeczenia się wszelkich aneksyi i uwzględnienie sprawiedliwych żądań poszczególnych narodów.

I tu znów znajdzie się sposobność do nowych kłótni, nawet już po zawarciu ogólno europejskiego czy światowego pokoju. Przedsmak tego mamy już u siebie, na własnych naszych śmieciach, których lwią część mają nam ochotę zabrać Rusini, nazywający się obecnie nawet urzędowo Ukraińcami. Jeśli miałoby się uwzględnić, a choćby wziąć poważnie w rachubę ich roszczenia, to tak musielibyśmy okroić nasze ziemie polskie, że dla nas niewiele zostałoby, a oni i tak wołaliby, że „dzieje się im krzywda!"... Ruscy a właściwie ukraińscy politycy i prowodyrzy doszli do tego stopnia zacietrzewienia, iż z góry wykluczają możność zgodnego współżycia obu bratnich narodowości.

Zupełnie zaś to samo dziać się będzie i na innych „frontach politycznych", które zajmą z czasem miejsce „bojowych" i trzeba być z góry przygotowanym na różne niespodziewane „ofenzywy". Pokazuje się z tego, iż ludzkość bez wojny, bodajby na języki, obejść się nie może i że miał racyę ów filozof, który ongiś powiedział: *Homo homini lupus*.., bo rzeczywiście jeden radby oczy wydrapać drugiemu

Tak wygląda cywilizacya europejska w dwudziestem stuleciu, w czasie, gdy nawet Anglicy zaczynają żałować, iż przed pięciuset laty spalili niewinnie Joannę d'Arc. Ruszyło ich sumienie, choć dość późno i aczkolwiek i oni są przeciwnikami wszelkich odszkodowań, obiecują Francuzom, ongiś swym wrogom, dziś przyjaciołom, rekompensatę, za ten, jak go sami nazywają, „niecny czyn, spełniony w Rouen przed pięciuset laty"... Ma to być odznaka pamiątkowa, w której wyrażonoby żal nieskończony z powodu owego „niecnego czynu", ale także złożonoby i oświadczenie, że każdy Anglik oddawna żywi cześć dla francuskiej bohaterki męczennicy.

Skoro Anglicy są teraz tak uczuciowi, ciekawy jestem, jakie przygotują odszkodowanie dla ofiar tej wojny, której tylko oni są sprawcami, choć się stale wymawiają i wskazują w inną stronę. Angielski interes zagrożony, to przecież główny i jedyny jej powód. Oni jednak potrafią się wykręcić sianem i po ukończeniu wojny powiedzą z pewnością, że nigdy jej nie pragnęli, a skoro ich już zmuszono do chwycenia za broń, dążyli wszelkiemi siłami do jej zakończenia, ale, broń Boże, nie ze względu na swój interes, ale dla dobra ludzkości, w której obronie stanęli, jako opiekunowie uciemiężonych, czego tak piękne dowody od lat składają w Irlandyi i Indyach. Także przecież tylko z umiłowania pokoju nie zezwolili swym poddanym na wzięcie udziału w „pokojowej" konferencyi w Sztokholmie!...

Na zakończenie, by już dać spokój polityce, której zbyt się dałem powodować, zacznę jeszcze z innej beczki... naturalnie aprowizacyjnej. Aprowizacya stoi w ścisłym bardzo związku z wszelakiego rodzaju centralami. Otóż, ze względu, iż właśnie drukuje się schematyzm państwowy za rok 1917, żąda wiedeńska *Reichspost*, by podano w nim dokładny skład funkcyonaryuszy wszelakich centrali, gdyż dotąd tajemnica osłania nie tylko gospodarkę tych instytucyi, lecz nawet dobór sił, powołanych do zajęcia się nią. Jeśli znane będą nazwiska, ułatwioną będzie znacznie rzeczowa ocena ich działalności.

Żądanie zupełnie słuszne, należy je ze wszech sił poprzeć i czekać cierpliwie, a może doczekamy się owej ze wszech miar bardzo ciekawej publikacyi nazwisk panów „centralistów", którzy tak niemiłosiernie igrają z naszymi żołądkami.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

Tr—cz
ko—ek
kr—da
Zo—ia
wa—on
mo—yl
sr—ka
ka—ka
pr—ca
As—yk
kl—ka
pl—wa
ta—ir
eg—da
pi—łk
mi—ka
kl—cz
ba—yl
la—ka
to—aj
śl—wa
ni—bo
pe—az
kr—ki

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy pseudonim francuskiej powieściepisarki (dwa wyrazy).

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2 Miejscowość znana z Biblii. 3. Fajka używana w Turcyi. 4. Instrument muzyczny 5. Bóstwo pogańskich Słowian. 6 Bajeczny król grecki 7. Smiertelna choroba. 8. Przyimek. 9. Samogłoska.

Zagadka.
Ułożyli P. i S., Nowy Sącz.

W podanym dwuwierszu bez rytmu i rytmu niczego nie przestawiając, ani dodając lub odejmując, tak przecież postąpić, by odczytać go z rymem i rytmem:

Na progu domu siedział pies
I trzymał w górę nos!...

Grzebieniówka.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy tytuł jednego z dzieł Ibsena (dwa wyrazy).

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Więzienie. 2. Ptak brodziec. 3. Tytuł turecki. 4. Imię męskie 5 Miasteczko w Galicyi wschodniej. 6 Spór. 7. Choroba.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył S. Winter, Tarnów.

Przez dodanie spółgłosek, utworzyć polskie przysłowie:

- - - o - ie -, - a - - a - o - a - ie.

Łamigłówka literacka.
Ułożył St. Winter Tarnów.

Znaleźć tytuły dzieł podanych autorów. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół. utworzą nazwisko współczesnego polskiego powieściopisarza.

Lermontow?
Ibsen?
Tennyson?
Łoziński?
Walewski?
Fredro?
Schnitzler?
Goethe?
Korzeniowski?
Syrokomla?
Czech?
Krasiński?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

No! Czy Jasiek Kid, syn Jana, nie wół?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O soki! Knoty, pień, a czako!

Bilety wizytowe.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

A. PISCYL BUT.

A. CENTALSKI.

PROT DROWAK.

N. PAŁKA.

ZEMNICKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *Eug. Żmijewski*: **Książę Pan.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 32.

Łamigłówka:
Wir
yak
Jan
ara
Zan
Don
nos
Ali
wąs
aga
knc
Aza
cap
Job
Eli

Zadanie do przestawienia: Lepszy rydz, jak nic

Logogryf:

H e r o i z m
E l i z y n m
D o r o t k a
D e r k a c z
A u s t r y a
G o r y c y a
A g r o n o m
B a w a r y a
L e l e w e l
E m i l i a n
R a d y k a ł

Zadanie na rossypane litery: Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.

Łamigłówka literacka:
Klasztor pod Sandomierzem.
Alina.
Ramoty i ramotki.
Ojciec Bem.
Legendy.
Lilli.
Intryga i miłość.
Błędne ogniki.
Egmont.
Listopad.
Trzy lata w Algerze.

Zadanie do przestawienia: Strach ma wielkie oczy.

Grzebieniówka:

S t e n e g r a f i a
a m b e a m
l u d c n b
a l n e f u
r a k u a l
i c c z r a
u y y y o n
m a a a n s

Zadanie do przestawienia Pies szczeka, a wiatr niesie.

Zadanie do uzupełnienia:
1) Boga nie obrażaj. a dyabła nie gniewaj.
2) Lepsza swoja buda, niż cudze pałace.

Bilety wizytowe: Nurek Chorąży Ministrant. Rewident. Prezydent sądu.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, K. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane. M Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, M. Winiarska Lwów, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, E Bogdalska Koropuż, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, E. Winter Tarnów. J Sosenko Munkacz, G Węgrzyn Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Skowroński Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Konkurs na dziełko o Kościuszce. Lwowski Komitet obchodu setnej rocznicy zgonu Tadeusza Kościuszki rozpisuje konkurs na napisanie dziełka o życiu i czynach Naczelnika narodu. Książeczka ta ma być przeznaczoną dla wszystkich; ton jej gorący i podniosły. Rozmiary 1—2 arkuszy druku. Termin nadsyłania prac konkursowych z zachowaniem zwykłych form, do 15 września 1917 r. pod adresem: „Komitet obchodu Kościuszkowskiego we Lwowie, Kasyno i Koło literacko artystyczne“. Nagroda pierwsza 300 koron, druga 200 koron. Nagrodzone dziełko staje się własnością Komitetu.

Jedyny w Krakowie, który posiada **własny wyrób trumien**

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) **Telefon Nr. 331.**

K 15 zegarek z łańcuszkiem,



wisiorkiem i futerałem

moja imitacya zegarka srebrnego Anker-Remontoir, 30 godzin idący, dobrze uregulowanego, werk Anker, razem z pięknym łańcuszkiem, wisiorkiem i futerałem, jak długo zapas starczy, wszystko razem

tylko kor. 15 za sztukę.

Trzech letnia pisemna gwarancya.

Wysyłka tylko za zaliczką.

Max Böhnel

Wien, IV., Margaretenstrasse Nr. 27/62.

Oryginalna lista fabryczna darmo.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11 wieczór.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

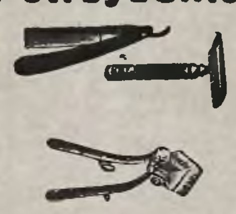
jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1916 roku).

Cena: oprawne w płótno 3 kor., w karton 2 kor., broszurowane 1·50 kor.

Dobry aparat do golenia i strzyżenia.



Ia. brzytwa z srebrnej stali K 3·50, 4.—, 5.—, aparat bezpieczeństwa do golenia niklowany K 3.—, 5.—, marka „Perfekt“ z 6 nożami K 16.—, 20.—, podwójne noże rezerwowe za tuzin K 5·—, 6·—. Ia. maszynka do strzyżenia K 11.—, 12.— Wysyłka za pobraniem lub poprzedniem nadesłaniem należytości. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

HANNS KONRAD

dom wysyłkowy w Brüx, Nr. 1747. (Czechy).

Administracya Nowości Illustrowanych

wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:

a) **„Wojenny Balonik“** **Wacława Grabiańskiego** cena 1 kor.

b) **„Po ślubie“** **Artura Gruszeckiego** cena 4 kor.

Na porto polecone nadsyłać należy dla *a)* 50 hal., dla *b)* 70 hal.

Za wysyłki niepolecone Administracya nie odpowiada. — Za zaliczką nie wysyła się.



Każda kobieta

czyta moje bardzo interesujące pouczenia nowoczesnego

pielęgnowania biustu.

Cenne porady dla niemających biustu. — Piszcie z zaufaniem do

IDA KRAUSE, Pressburg (Węgry), Schanzstrasse 2, Oddział Nr. 10.

Nic nie kosztuje.



500 koron

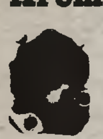
płacę każdemu, jeżeli

— nagniotki —

brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·75, 3 słoiki K 4·50, 6 słoików K. 7·50. Tysiączne listy z uznaniem i wdzięcznością.

Kemeny, Koszyce (Kassa), 1. fach pocztowy 12—283, Węgry.

Krem twarzowy jako puder.



Precz z każdym pudrem, który tylko pory zatyka i bezwarunkowo robi z czasem zmarszczki w twarzy. Używajcie **perłowego pudru kremu dr. A. Rix** białego, różowego i kremowego. Krem puder jest zupełnie nieszkodliwy, nie jest to żadna szminka, nadaje twarzy natychmiast matową, delikatną cerę. Do pielęgnowania skóry i piękności niezrównany i oszczędny w użyciu. Próbna doza kor. 2·—, większa doza na cztery miesiące wystarczająca koron 4·—. Wysyła pod ścisłą dyskrecyą

Kosmetyczne preparaty dra A. Rixa

Wiedeń IX. Laklergasse 6/F.

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 35. K. Miklaszewski, plac Dominikański. Komorowskiego, Floryańska 33. Beckner, Długa 4. **We Lwowie:** Apteka Rucker, ul. Krakowska, apteka Rafaela, ul. Gołuchowskiego. Perfumerya Sladowskiego. **Tarnów:** Droguerya Bracha. **W Bielsku:** Drog. Polaczka, ul. Kolejowa. **Lublin:** Perfumerya Stankiewicza. **W Białej:** Drog. Tanewski.

Najmniejsza

książeczka do nabożeństwa p. t.: „Książeczka miniaturowa“ (5/7 ctm.). Prześliczne wydanie, wyborowa treść dla intelligencyi, elegancka oprawa. Po otrzymaniu K 3·96 wysyła franco Księgarnia katolicka **dra Władysława Miłkowskiego** w Krakowie, ul. Floryańska 1. Taż sama książeczka, oprawna w miękką cielęcą skórkę kor. 5·96 z przesyłką.

Klisze cynkowe i fotografie

z każdego numeru odsprzedaje

Administracya Nowości Illustrowanych

ANTONI CHOŁONIEWSKI

Duch dziejów Polski

na tle chwili dzisiejszej.

TREŚĆ:

Wstęp. Idea życia zbiorowego. Naród i król. Szlachta polska. Unie. Swobody jednej warstwy. Tolerancya wyznaniowa. Prawo i życie. Wojny polskie. Szerzycielka wolności. Wyprzedzenie Europy. Upadek państwa. Duch dziejów Polski na tle chwili dzisiejszej

Cena K. 2·50.

Do nabycia w Administracyi „Głosu Narodu“, we wszystkich księgarniach i w Towarzystwie Szkoły Ludowej w Krakowie (Floryańska 15), które wysyła egzemplarze pojedynczo po nadesłaniu należytości lub za zaliczką pocztową, oraz większe ilości do księgarń za gotówkę z opustem.

Założony w roku 1900!

Po drodze do Zakopanego

Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie**

wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze.

Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

Wojenny zegarek z branzoletką

dokładnie zregulowany i obciągnięty



niklowy lub stalowy K 25·—, 30·—, 35·—, z radiową tarczą świetlną K 30·—, 35·—, 40·—. Zegarek remontoir z perłową masą K 30·—, 35.—. Srebrny zegarek z branzoletką kor. 50·—, 60·—. 14-sto karatowy złoty zegarek z branzoletką K 130·—, 160·—. Na każdy zegarek 3-letnia pisemna gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

I-sza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dost. w Brüx Nr 1570 (Czechy)

Główny katalog darmo i opłatnie

Już wyszedł

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 2 korony.

Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“.

W jaki sposób wypiękniałam!



„Jakże byłam szkaradna!“ — tak opowiada pewna młoda kobieta, której portret w środku się znajduje. — Zresztą nie byłam niemiłej postaci, ale przez kilka lat była cera mojej twarzy tak zeszpecona, że była prawie odrażającą. — Używałam najrozmaitszych środków, ale zawsze nadaremnie. Byłam już prawie zrozpaczona! Za poradą mojej przyjaciółki jednak sprowadziłam cztery słoiki „HELINU“ i używałam według przepisu. — Już po kilku dniach zauważyłam, że szpecąca moją twarz nieczystość, ustępowała w sposób w oczy wpadający, a po kilku tygodniach zupełnie znikła. — Twarz moja stała się miła, czysta i gładka, cera przyjemna, delikatna i różowa, moje białe ręce zyskały na dystyngowanej piękności i delikatności. Znajomi, którzy mnie przez dłuższy czas nie widzieli, ledwie mnie poznać mogli. — Jak przedtem byłam lekceważona, tak obecnie stałam się ulubienicą wszystkich. Wnet uchodziłam powszechnie za piękność i niebawem mogłam według własnego upodobaniu przystąpić z wybrańcem do ołtarza. Rówieśniczkom moim, które jeszcze nie próbowały tego cudownego środka, mogę jak najgoręcej polecić, aby sobie sprowadziły kilka słoików „**Helinu**“ ze składu apteki pod „**Białym Orłem**“, **L. Vertesa. Lugos Nr. 741,** jeżeli pragną pozbyć się jakichkolwiek wyrzutów, skórnych i uzyskać trwałą piękną cerę. Wysyłka następuje najmniej w ilościach 4 słoików „Helinu“ lub 3 słoików „specyalnie silnego „Helinu“ odnoszącego zupełny skutek wraz z opisem sposobu używania, z opakowaniem i opłatą pocztową za K 15·—. Za mniej niż za K 15·— nie wysyła się, ponieważ koszta opakowania i opłata pocztowa są zbyt wygórowane. 1 mydełko „Helina“ 5 kor., 1 pudełko pudru „Helin“ 2 kor. 50 hal., jeden kompletny garnitur (mianowicie jedno mydełko „Helin-Krem“ i pudełko pudru 12 kor. 80 hal. opłatnie).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego